



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Stefan A. Paluch

Obrabowany z dzieciństwa

Urodziłem się 13 czerwca 1930 roku, w piątek, we wsi Kuźnica Wareżyńska, w parafii i gminie Wojkowice Kościelne, w powiecie będzińskim, który w tym czasie wraz z całym Zagłębiem Dąbrowskim włączony był do województwa kieleckiego. Teoretycznie miałem dwie żyjące siostry, ale praktycznie byłem jedynakiem, bo były one starsze ode mnie o 17 i 15 lat. Nie były więc dla mnie partnerkami – zwłaszcza do zabawy. Wujkiem po raz pierwszy zostałem już w piątym roku życia, a przez następne pięć lat zostałem nim jeszcze pięciokrotnie. Takim to zbiegiem losu różnica wieku między mną a siostrzeńcami i siostrzenicami była znacznie mniejsza niż między mną a siostrami. Aby było ciekawiej dodam, że najstarsza siostra Wiktoria urodziła się pod zaborem carskim (1913 roku) i jest zapisana w Księdze Urodzeń po rosyjsku, młodsza Józefa pod zaborem pruskim (1915 roku) i zapisano ją już w języku polskim a ja urodziłem się w wolnej Polsce, w bardzo młodej II Rzeczypospolitej, która sama rodziła się w wielkich bojach zewnętrznych i wewnętrznych, która jeszcze nie okrzepla po i wojnie światowej, po grabieży zaborców i utraty terytorialnych, po ciężkich gospodarczo latach 20-tych. Można przyjąć, że należę do pierwszego pokolenia urodzonego w wolnej Polsce.

Sytuacja materialna rodziców w chwili mego urodzenia nie była najlepsza, byli bowiem jeszcze na tzw. dorobku. Zadłużyli się na dokupienie pola i domu. Także w gospodarce i polityce był wielki kryzys. Najbardziej, jak piszą historycy, odczuwało się to właśnie w Zagłębiu, w tej kresowej dzielnicy pogranicznej, gdzie nastąpiło ogromne wyniszczenie gospodarcze, spowodowane rabunkową eksploatacją miejscowego przemysłu, planową wywózką surowców i maszyn przez obu okupantów, najpierw Rosjan, później Niemców oraz niszczenie kopalń przez Niemców w obawie przed powrotem Rosjan i dodatkowo w celu zabezpieczenia rodzimego przemysłu na Śląsku przed konkurencją ze strony polskich hut i fabryk. Ogólnie mówiąc okres międzywojenny w Zagłębiu Dąbrowskim do 1935 roku nie był powszechnie postrzegany jako okres rozwoju i dobrobytu oraz sukcesów młodej i odrodzonej państwowości. Dopiero po 1935 roku rozpoczęła się w gospodarce zagłębiowskiej faza ożywienia, w której dużą rolę odegrała interwencyjna polityka państwa. Sytuacja zaczęła się wyraźnie stabilizować, mimo, że nie wszystkie zakłady w równym stopniu odczuły poprawę koniunktury a kopalnie i huty nie osiągnęły poziomu produkcji przed okresu kryzysowego, a nawet poziomu roku 1930.

Od roku 1937, po spłaceniu długów zaciągniętych na zakup gruntu i domu, zaczęło nam się nareszcie żyć w miarę dostatnio, jak mawiał ojciec. Tę „w miarę dostatność” zakłóciła jednak wojna, a wysiedlenie i utrata całego dorobku całkowicie ją zburzyło.

Trudna sytuacja gospodarcza kraju zmusiła rząd do ogłoszenia pożyczki ogólnonarodowej na dobrojenie armii, w tym głównie na rozwój lotnictwa i obronę przeciwlotniczą. Naród to przyjął

z aprobatą i ludność chętnie oddawała swoje pieniądze i kosztowności. Zachodzącymi wydarzeniami interesowali się wszyscy. Chętnie słuchano audycji radiowych z Katowic, a szczególnie Karlika z Kocyndra, czyli prof. Stanisława Ligonia, w swojej audycji „Przy żeleźnioku”. Radio w tamtych czasach było rzadkością i dlatego ci, którzy go mieli, zwłaszcza lampowe wystawiali je do okien, by inni chętni też mogli usłyszeć, co się na świecie dzieje. Takim był pan Łydka, który jako jeden z niewielu, miał kryształkowe radio ze słuchawkami. Ojciec chodził do niego posłuchać, co mówią. Czasem zabierał i mnie ze sobą, wtedy pan Łydka stawiał na stole porcelanowy talerz i wkładał do niego słuchawki, by tym sposobem wzmocniony głos mogły słyszeć również inne osoby siedzące dookoła stołu. Na jednej z takich sesji usłyszałem bardzo charakterystyczne zdanie wypowiedziane przez pana „Karlika” z radia Katowice, że „już się Hitler po przedpokojach krząta, a Stalin z za pieca wygląda”. Ponieważ jakoś to zdanie utkwiło mi w pamięci, więc zapytałem Ojca, o kim ten pan Karlik mówił. Usłyszałem, że zarówno Hitler, czyli Niemcy, jak też Stalin, czyli Rosjanie znowu chcieliby Polskę wziąć w niewolę, jak to dawniej bywało. Potwierdził to także pan Łydka, niewiele z tego zrozumiałem, ale obaj długo potem jeszcze na ten temat rozmawiali. O tym, że było to na pewno parę tygodni przed wrześniem, wiem od mego Ojca, który to zdarzenie często później wspominał. Takie właśnie radio zamierzał też kupić mój Ojciec, już nawet przeprowadzaliśmy próby z rozwieszeniem anteny. Na zawieszanej u nas antenie radio pana Łydki lepiej odbierało niż u niego.

Sierpień 1939 roku był dla mnie okresem końca wakacji. Miałem już wszystkie książki potrzebne do trzeciej klasy, jedną nową, a pozostałe odkupione od starszych kolegów. Książki i zeszyty obłożone w nowe papierowe okładki, jeszcze nieopisane, ale starannie ułożone w teczce czekały, aby je zabrać do szkoły. Rok szkolny miał się rozpocząć czwartego września w poniedziałek. Wieści przynieszone przez zmobilizowanych rezerwistów pracujących przy budowie fortyfikacji świadczyły o tym, że Niemcy już od paru miesięcy grupują znaczne siły wojskowe w pobliżu naszej granicy. Wśród ludności pogranicza, a więc i na naszym terenie wzrastał niepokój i w końcu sierpnia nikt już nie miał wątpliwości, czym to grozi, tym bardziej, że na wezwanie obrony przeciwlotniczej przystąpiono do zaciemniania okien i wzmocniania szyb przez naklejanie pasków papierowych w kształcie litery „X”. Robiono tampony mające zastąpić maski przeciwgazowe, gromadzono żywność. Szwagier mój, Bolesław Drużyński po otrzymaniu zawiadomienia o mobilizacji do wojska w trzecim rzucie, wywiózł swoją rodzinę, tzn. moją siostrę z dziećmi: kilkumiesięczną Teresą i półtora letnią Janiną, do swej rodziny mieszkającej w Łanach Wielkich koło Żarnowca twierdząc, że jest to dalej od granicy. Opowiadał różne niezrozumiałe dla mnie rzeczy, dziś wiem, że były to rozmowy o polityce. Mobilizację powszechną ogłoszono przez radio, w czwartek 31 sierpnia 1939 roku, po czym radio zamilkło. Na ciągłym nasłuchu pozostały jednak ośrodki pełniące służbę przeciwlotniczą i kontrolujące obecność posterunków obserwacyjnych – taki posterunek znajdował się też w Wojkowicach Kościelnych i mieścił się w budynku gminy. Nasłuchiwali nadal także prawie wszyscy mający radia kryształkowe. Pogoda była bezchmurna, dzień słoneczny i noc bez chmur, radio milczało.

W ten ostatni dzień sierpnia ruch na jeszcze nowej, bo zaledwie kilkuletniej, klinkierowej szosie łączącej Katowice z Warszawą, według mnie, odbywał się normalnie. Zarówno po siódmej rano, kiedy brzegiem tej drogi przepędzałem krowy na łąkę, w trakcie całego przedpołudnia, jak też w trakcie pędzenia ich na południowe dojenie, mimo że bardzo interesowały mnie samochody, nic szczególnego nie zauważyłem. Ale przy obiedzie Ojciec zauważył, że od kilku dni ruch na szosie jest coraz większy, zwłaszcza w stronę Będzina jedzie więcej ciężarówek wojskowych mocno opatulonych plandekami. Po obiedzie przed naszym domem spotkali się, idący z górki sąsiad Franciszek Łydka (senior) z Wincentym Kanią wracającym po szychcie z kopalni. Dołączył do nich mój Ojciec i długo z wielkim przejęciem o czymś rozmawiali. Jedynie, co usłyszałem przechodząc obok, to potwierdzenie Łydki, że faktycznie od kilku dni ruch na szosie znacznie się zwiększył, bo dowożą zaopatrzenie do budowy fortyfikacji w okolicy Czeladzi. Dodał jeszcze, że dużo więcej tego zaopatrzenia wożą samochodami przez Mierzęcice do Piekar, tam gdzie pracują nasi chłopcy – o tym, że budują fortyfikacje głośno się nie mówiło.

Po południu baczniej obserwowałem ruch na szosie, ale nadal nic szczególnego nie mogłem dostrzec. Wieczorem, gdy wróciłem z krowami, zastałem Ojca czytającego gazetę. Z nadejściem zmroku przestał czytać, złożył gazetę i oznajmił Mamie, że idzie do Wicka oddać mu gazetę. Wrócił już późnym wieczorem, bo jak powiedział słuchali radia, a na pytanie mamy – „Co tam słyszą?” – odpowiedział: „Nic dobrego. Może tu być jeszcze bardzo gorąco”. Co dalej mówił nie wiem, bo zasnąłem.

Nazajutrz, 1 września w piątek, wcześniej rano bardzo nisko nad dachami domów przeleciała eskadra ciemnych samolotów licząca, jak mówił Ojciec, około 30. Leciały z zachodu na wschód. Wielu ludzi obudzonych rykiem silników, również i on, wyszło z domów popatrzeć na lecące samoloty zamiast kryć się, jak instruowały rozwieszone afisze obrony przeciwlotniczej. Przy śniadaniu Ojciec zauważył z jakimś zaniepokojeniem, że coś się jednak musiało wydarzyć, bo na szosie nie ma samochodów.

Gdy tak przyglądaliśmy się pustej szosie przyszedł do nas sąsiad, tenże wczorajszy pan Łydka z wiadomością usłyszaną w radiu o godzinie 5.45, że o godzinie 4.00 rano wojska niemieckie przerwały

naszą granicę i rozpoczęła się wojna, a o godzinie 5.20 nadano przez radio następujące słowa: „Tu Karol, tu Karol – Czekolada”. Według pana Łydky oznaczały one, dla służb przeciwlotniczych, że „jest wojna i należy zarządzić alarm przeciwlotniczy”, bo za niecały kwadrans nadleciały samoloty. Do rozmowy Ojca z panem Łydką włączył się jeszcze, wracający na rowerze po nocnej dniówce z kopalni, najbliższy sąsiad Jan Pitas, by opowiedzieć, co słyszał i widział po wyjeździe spod ziemi m.in. powiedział, że między granicą i linią polskich ubezpieczeń, na odcinku Krzepice, Lubliniec, Koszęcin, już od godziny 4.30 trwa regularna wojna z wkraczającymi oddziałami niemieckimi. Ktoś inny przyniósł wiadomość, że nalot bombowy na Wieluń zamienił go w gruzy oraz że artyleria niemiecka przygotowuje natarcie piechoty i wojsk pancernych pod Krzepicami, Pankami, Lublińcem. Rozmowy z przerwami trwały cały dzień, bo albo ktoś przychodził albo Ojciec do kogoś wychodził na drogę.

Na froncie mimo wielkiej przewagi najeźdźcy, nasza piechota i artyleria stacząc ciężkie boje z pancernymi oddziałami wroga, jego natarcie chwilowo wstrzymała. Uspokoilo to nastroje, ale nie na długo, bo kolejna wiadomość o przerwaniu granicy w kilku punktach wywołała panikę i obserwowany przez nas ruch samochodowy rozpoczął się wyraźnie wzmagać po południu. Prawie wszystkie samochody jechały tym razem w kierunku Częstochowy. Większość z bagażami na dachu. Uciekali przed żołdakami hitlerowskimi. Mówiono, że rabują, że mordują, że kobietom obrzynają piersi, itp. itp. Niezapomnianym widokiem był przeciągający tłum uciekinierów ze Śląska. Jakże wymowny i świadczący o jego polskości. Przecież Niemcy nie uciekaliby przed swoimi. Przeważali ludzie starzy i kobiety z dziećmi. Jedna z grup, dla odpoczynku zatrzymała się przy naszym domu. Mama wyniosła im trochę mleka dla dzieci, a starsi poprosili o wodę. Kanapki jeszcze mieli ze sobą. W większych miejscowościach organizowane były punkty żywieniowe. Ruch trwał przez całą noc i w następnym dniu też się nie zmniejszał. Ze skromnym dobytkiem przed zbliżającym się frontem z miast i wiosek uciekali wszyscy. Na drogach wiodących na wschód, obok wozów chłopskich jechały samochody wojskowe i karetki z rannymi a poboczami szły kolumny pieszych z tobołkami w rękach, na plecach i na wózkach – swoje tobołki niosły także dzieci. Na twarzach widać było strach i zmęczenie.

W ciągu dnia widziałem dwa strzelające do siebie samoloty. Leciąły od Gołonoga w kierunku Tuliszwowa. Uciekającym był samolot niemiecki, a goniącym go samolot polski. Nad Przeczycami zaczęły krążyć wokół siebie i znikły za Waręską Górką.

Koło południa w sobotę (2 września) przyszedł do nas sąsiad, wspomniany już Jan Pitas z propozycją, byśmy się zabrali z nimi na furmankę i tak jak inni uciekali przed mordującymi hitlerowcami. Ojciec po rozmowie z Mamą potwierdził chęć wyjazdu. Wyjazd miał nastąpić po południu. Zaczęło się przygotowanie. Pakowano do kuferka, do walizki i w tobołki. Największym zmartwieniem było, co zrobić z żywym inwentarzem – zabrać czy zostawić na pastwę losu. Było już pod wieczór, gdy podjechał umówiony gospodarz (nie pamiętam, kto) z własną rodziną na furmance. Załadowali się Pitasowie i przyszła kolej na nas. W tym czasie na podwórko weszła grupa ludzi, uciekinierów spod Piekar, z prośbą by ich przenocować. Widząc ich Ojciec, z walizką w ręce, którą niósł już na furmankę, zatrzymał się i po chwili zadumania powiedział: „Jeśli do mnie przychodzą ludzie i proszą by ich przenocować, to z jakiej racji ja mam uciekać” i zawrócił do domu.

Sąsiedzi odjechali, a Ojciec przygotował w stodole miejsce do spania dla przybyłych kilkunastu osób w różnym wieku. Część naszego bagażu Mama rozpakowała, nakarmiła nas i gości. Poszedłem spać. Po tyłu wrażeń szybko zasnąłem. Obudził mnie bardzo głośny krzyk w stodole. Ojciec tam szybko pobiegł i okazało się, że któryś z gości chciał sobie dołożyć słomy na legowisko, więc sięgnął po nią i spowodował lawinę snopków spadających na śpiące osoby. Słyszałem też jak tato mówił do mamy: „Dopiero minęła północ, a krzyk był tak wielki, bo ludzie myśleli, że to bomby lecą”.

Nim zasnąłem, a może znowu mnie obudził, niesamowity rumor na drodze i głosy na podwórku. To nadciągnęły wycofujące się jednostki wojska polskiego, a tak wielki rumor spowodowany był m.in. chowaniem się wojska przed nadlatującymi samolotami nieprzyjaciela. Przez całą noc jeden żołnierz odchodził, inni przychodzili i tak już do samego świtu. Nikt nie spał. Po odejściu wojska nasi goście spod Piekar, przez jakiś czas zastanawiali się, co robić, iść dalej czy wracać, wybrali to drugie i poszli z powrotem. Nastąpiła głucha cisza. Pusto na drodze. Nie wiedzieliśmy, kto uciekł, a kto pozostał. Około godziny dziewiątej, po nakarmieniu krów własnych i sąsiada, Ojciec wrócił z podwórka i oznajmił nam, że widział za rzeką dwóch przemykających żołnierzy polskich. Oznaczało to, że nasze wojska są jeszcze w pobliżu i mogą się okopywać za rzeką. Znalezilibyśmy się wtedy na linii frontu. Chciał nawet wyjść i kogoś się poradzić, co robić, ale nie bardzo wiedział, do kogo się udać. Była niedziela, a dzwony kościelne nie dzwoniły, oznaczało to, że mszy nie będzie. Niezadługo sprawa się wyjaśniła.

Punktualnie o godzinie dziesiątej rozległ się przeraźliwy huk i nastąpił potężny wstrząs. Wybiegliśmy za dom i ujrzeliśmy słup kurzu nad szosą. Wysadzony został most na prawej odnodze rzeki Czarnej Przemszy, ten od strony Kuźnicy Warężyńskiej, bo 100 m dalej był drugi na lewej odnodze. Widocznie huk poruszył ludzi, bo zaczęli się pokazywać grupkami na drodze. Zebrało się także nas kilku chłopaków i bez opowiedzenia się rodzicom, pobiegliśmy zobaczyć, co się stało. Zobaczyliśmy złamany w połowie i zapadnięty most. Przeszliśmy po nim na drugą stronę i dalej do

Wojkowie Kościelnych zobaczyć, dlaczego dzwony nie dzwoniły. Kościół był pusty i otwarty, pusto było na plebanii, ksiądz proboszcz też uciekł. Pusto też było w gminie i przy zabudowaniach folwarcznych. Wyglądało groźnie, więc szybko pobieглиśmy z powrotem do domu. Omal nie otrzymałem lania, tak Ojciec był zdenerwowany moją nieobecnością. Kiedy jednak wysłuchał moich szczegółowych relacji, skończyło się na solidnym napomnieniu. Rano w poniedziałek ktoś przyniósł wiadomość, że w nocy na załamanej i zapadniętej płycie mostu wpadły dwa samochody osobowe. Nie ma śladów krwi i nie ma pasażerów. Widocznie poszli dalej pieszo. Po południu 3 września 1939 roku otrzymaliśmy wiadomość, że jeszcze dużo wojska jest na Bielowiznie i pod Wygiełzowem. Był to, 11 pułk piechoty, który opuszczał ten rejon, zgodnie z rozkazem.

Od pierwszego dnia wojny bardzo nieprzyjemnym zjawiskiem, do tego stopnia budzącym grozę, że zwierzęta uciekały do zagród, były dywanowe przeloty samolotów, bardzo nisko i z wielkim rykiem silników. Trwało to przez prawie trzy tygodnie. Od tego ryku silników trzęsła się ziemia, a w uszach dzwoniło jeszcze długo po ich przelocie. Jednocześnie przelatywały ich po kilkadziesiąt sztuk. Wyczuwało się, że są bardzo obciążone bombami. Nadlatywały z kierunku Gliwic, lub Kędzierzyna i kierowały się na północny wschód, być może nawet nad Warszawę. Powracających nie pamiętam, być może wracały inną trasą.

W poniedziałek (4 września) około drugiej po południu, najpierw było słyhać szum, a następnie wyłoniła się z lasu na drodze od strony Będzina, kolumna samochodów wojskowych. Na przedzie jechały dwa motocykle, to one wykryły zerwany most. Ta część samochodów, które minęły skrzyżowanie z drogą na Kuźnicę Wareżyńską zatrzymały się i stały, natomiast cztery pozostałe, które zatrzymały się przed skrzyżowaniem, pierwsze wjechały do wioski i zatrzymały się tuż przed Pitasowym domem. Z każdego z nich wysiadło po trzech żołnierzy i rozeszli się w różne strony wsi. Żołnierz jednego z tych patroli na podwórku u Proszowskich znalazł nabój karabinowy. Natychmiast całą rodzinę Proszowskich postawili pod ścianą do rozstrzelania i wezwali dowódcę. Dopiero przez tłumacza, jednego z żołnierzy niemieckich, którzy przybiegli z dowódcą, udało się wytłumaczyć hitlerowcom, że w nocy stacjonowali tu żołnierze polscy i prawdopodobnie któremuś z nich wypadł ten nabój. Dali więc spokój Proszowskim, a odchodząc zapytali: „Czy są we wsi Żydzi?” Odpowiedziano im, zgodnie z prawdą, że „tu nigdy Żydzi nie mieszkali”. Inne patrole wróciły bez większych wrażeń, zagłądali głównie do stodół i wylegitymowali kilku mężczyzn.

Pozostali żołnierze cały czas siedzieli w samochodach. Stały też te samochody, które znalazły się między mostem a wsią. Widocznie szczegółowo oglądali zniszczenia i możliwości dokonania objazdu. Po około dwóch godzinach odjechali w kierunku Wareżyna, by przez Przeczyce dotrzeć do Siewierza, omijając przeszkody. Następnego dnia przyjechała inna jednostka i zabrała się do robienia zjazdu z nasypu drogi do poziomu łąki, by dalej brodem i istniejącym nasypem przy drugim moście, omijając zburzony most. Odtąd już bez przerwy jechały kolumny samochodów wojskowych, z tym, że jedne przeprawały się przez bród, a inne omijały przeszkodę jadąc koło nas i dalej przez Wareżyn, Przeczyce.

Wojsko odbudowało most, naturalnie przy pomocy nałożonych szarwarków na miejscową ludność. Każdy z okolicznych mieszkańców musiał odpracować wyznaczoną liczbę godzin lub wykonać określoną czynność, na przykład zwieźć wyznaczoną ilość tłuczni, ziemi czy piasku. Cieśli, zbrojarzy i betoniarzy przywieźli z zakładów pracy.

W pierwszych dniach września, ja i kilka jeszcze osób, w tym pracujący przy odbudowie mostu, byliśmy świadkami następującego wydarzenia. Od strony Będzina nadjechała jednokonna bryczka, a w niej oprócz powożącego, siedziały trzy osoby: starszy pan ubrany w ciemny surdut i czarny kapelusz, z twarzą obwiązaną białą chustą, jak gdyby bolały go zęby, kobieta sporo od niego młodsza i dziewczynka około 8 lat.

Gdy podjechali do nieczynnego jeszcze mostu, ale już z nałożoną nawierzchnią, zatrzymujący bryczkę żołnierz, coś krzyknął i za chwilę podbiegło dwóch innych. Ci siłą ściągnęli z bryczki mężczyznę i zerwali mu chustę z twarzy. Okazało się, że pod chustą ukryta była długa siwa broda z pejsami. Początkowo wszyscy trzej szarpali go za brodę i pejsy, wrywając pojedyncze włosy. Tym szarpaniem przeciągnęli go na drugą stronę mostu. Po jakimś czasie prawdopodobnie doszli do wniosku, że szybciej tego dokonają obrzynając włosy nożem. Przybiegł czwarty hitlerowiec z otwartym scyzorykiem. Poprzednia trójka trzymała wystraszonego obolałego człowieka, a ten czwarty obciął mu najpierw pejsy, następnie powoli obrzywał kosmykami brodę. Cały czas wszyscy hitlerowcy głośno nad czymś dyskutowali. Okazało się, że zastanawiali się co dalej z Żydem zrobić. Wskazując w kierunku Wareżyna, widocznie doszli do wniosku, że pogonią go w tamtym kierunku. Powiedzieli mu, że jeśli dobiegnie do wsi bez odpoczywania, to go puszcza wolno. Wiedzieli bowiem, że w odległości około 200 metrów zakolem przepływa odnoga Czarnej Przemszy, a Żyd na pewno jej nie przeskoczy, a bojąc się wody nie przejdzie i będzie musiał wrócić na drogę, czyli po chwilowej przerwie będą mogli dokończyć dzieła.

O tym zamiarze powiedział nam szeptem stojący wśród nas nieznan mi osobnik. To spowodowało u mnie chęć pomocy, wobec tego, gdy Żyd przechodził koło mnie na drżących nogach szepnąłem: „przy najwyższym drzewie” i chciałem jeszcze dodać „jest najwężziej”, ale tego i tak już nie mógłby usłyszeć,

bo dopadł do niego hitlerowiec, ten ze szczyrym i zepchnął go z nasypu. Żyd sturlał się kilka metrów w dół, ledwie wstał i kulejąc, z gołą siwą głową, pobiegł prosto w kierunku najwyższego drzewa. Patrzelismy na niego wszyscy. Niemcy głośno krzydzeli i wygrażali mu pięściami, kobieta z dziewczynką płakały, a my zaciskaliśmy pięści by mu się udało. Nad rzeczką starzec się zatrzymał, cofnął, nabrął rozbiegu i przeskoczył. Na szosie na ten czas zapanowała cisza wyczekiwania, nawet płaczu nie było słyhać. Gdy przeskoczył Niemcy zaczęli znowu krzydzć i klócić się o coś między sobą. Wśród nas nadal była cisza. Po chwili podszedł do mnie hitlerowiec, coś szwargotał, ja go nie rozumiałem, wobec tego patrzyłem mu tylko prosto w oczy ze zdziwieniem. W końcu coś krzyknął bardzo głośno, że aż drgnąłem i odszedł.

Po kilkunastu minutach, gdy już zbiega nie było widać, bryczka zawróciła i odjechała w kierunku Kuźnicy Warężyńskiej, a za nią i my poszliśmy. Po drodze, ten nieznany osobnik, powiedział mi, że Niemiec pytał mnie, co ja powiedziałem Żydowi, ale ponieważ ja udawałem niewiniątka dał mi spokój. Osobnik ten jeszcze z drugim, też mi nieznanym, poszli drogą w kierunku Będzina, my rozeszliśmy się do domów, a bryczka pojechała w kierunku Warężyna. Czarny kapelusz Żyda, który mu spadł w czasie turlania się po nasypie, przez kilka dni wisiał na sęku pobliskiego drzewa.

Po ciężkiej tułaczce i utracie całego zabranego dobytku, zaczęli wracać nasi uciekinierzy, ustawały też dywanowe przeloty samolotów.

Pierwsi uciekinierzy zaczęli wracać po około 2 tygodniach, naturalnie pieszo i bez zabranego dobytku, a do tego bardzo wyczerpani i wychudzeni. Najgorzej znieśli to dzieci. Byli i tacy, jak na przykład ksiądz proboszcz Sokołowski, którzy powrócili dopiero po trzech tygodniach, bo zatrzymali ich Niemcy do pracy przy naprawie dróg. Powracający opowiadali wręcz makabryczne przeżycia. O ciągłym strachu przed nalotami niemieckich samolotów, które z karabinów maszynowych bez przerwy ostrzeliwały cywilne kolumny, o okrucieństwie pilotów, o zwłokach zamordowanych i cierpieniach rannych, o tłoku, jaki panował na drogach i poboczach, o porzucanym dobytku, o głodzie i smrodzie, o niepewności jutra, o ogólnym wyczerpaniu, chorobach i jeszcze trudniejszej drodze powrotnej. O tym, że Warszawa jeszcze się broni, że trwają walki nad morzem, że nasze wojska jeszcze są w lasach i to najgorsze, że „bolszewicy wbili naszej armii nóż w plecy”, podobnie jak Niemcy, napadli od wschodu i zagarnęli wschodnią część Polski aż do Wisły, że w swych postępowaniach niewiele różnią się od hitlerowców. O tym, że Rząd Polski uciekł do Rumunii i tam też ewakuują się nasze wojska. O tym, że zawiedli nas Anglicy i Francuzi a Papież poświęcił Hitlerowi armaty.

Powróciła też siostra ze swoją rodziną, bo szwagier powołany do wojska w ostatniej chwili, nie zdążył dojechać do swojej jednostki, gdyż pociąg, w którym jechał został zbombardowany, a tory zniszczone. Przez kilka godzin uczestniczył w akcji ratowania życia rannym i próbie usuwania szkód. O dalszej podróży kolejną nie mogło już być mowy, inna komunikacja nie istniała, bo drogi pełne były uciekinierów. Wojska nasze już odeszły, lokalizacja jego jednostki też na pewno się zmieniła, a nowa nie była mu znana. Mimo to na znalezionym przypadkowo rowerze pojechał bocznymi drogami dalej na wschód. Wczesnym rankiem następnego dnia po paru godzinach przespanych w stogu siana obudził go szum motorów. Drogą, do której jeszcze nie dotarł, jechały niemieckie samochody wojskowe. Zawrócił. W przedzieraniu się przez las, bo bał się jechać drogami, rower nie był mu przydatny, więc go zostawił. Po paru dniach dotarł do rodzinnej wsi, gdzie zostawił swą rodzinę.

Zaczynał się „Ordnung”, czyli systematyczne zaprowadzanie niemieckiego porządku. Pojawiły się plakaty informujące o godzinie policyjnej (od zmroku do świtu) – zabraniające, ograniczające i grożące karami do rozstrzelania włącznie.

Pokolczykowano konie, krowy i świny, wystrzelano psy. Nasz pies Azor, mieszaniec wilczura i owczarka niemieckiego, był ułożony i bardzo mądry, miał 5 lat, budził respekt, ale wszyscy go lubili. Jeśli wychodziłem z nim na spacer, to rodzice byli o mnie spokojni, wiedzieli bowiem, że żadnej krzywdy nie pozwoli mi zrobić. Byłem bardzo do niego przywiązany i dlatego na czas rozstrzeliwania psów, Ojciec specjalnie wysłał mnie do siostry na Pierkowskie, abym tego nie widział. Zarządzono przymusowe odstawianie wszelkich płodów rolnych, mięsa, jajek i mleka. Jeśli ktoś się ociągał z dostawami robiono rewizje i zabierano wtedy wszystko. Zarekwirowano odbiorniki radiowe i aparaty fotograficzne. Wprowadzono kartki żywnościowe, a rewizje były nadal i to obojętnie czy był jakiś powód czy go nie było, chodziło im tylko o to, by nas zastraszyć i jak najwięcej zagrabić. Tu zaradność Ojca okazała się bardzo cenną, bo od dawna stosowana przez niego zasada zaopatrywania się na zimę w większe ilości produktów, głównie z powodu niższych cen w jesieni, a także uniknięcia wyjazdów po zakupy w czasie zimy, pozwoliła nam przez długi czas korzystać z zapasów kaszy, soli, a zwłaszcza cukru. Wiosną wprowadzono obowiązek wykupywania specjalnych kartek upoważniających do zbierania w lesie chrustu i jagód, a jesienią na grzyby. Jeśli ktoś takiego kwitu nie miał, to zabierano mu przedmiot przestępstwa i w najlepszym przypadku karano grzywną, a zawsze straszono wywiezieniem do obozu koncentracyjnego Auschwitz.

Zabrano dzwony z kościelnej wieży, by je przetopić na pociski. Do ich zdjęcia i załadowania na furmanki spędzono siłą okolicznych mężczyzn. Zdejmovaniu dzwonów przyglądało się sporo ludzi.

Początkowo Niemcy nic nie mówili, ale kiedy wystąpiły kobiety z prośbami i płaczem by temu zapobiec, rozpedzono wszystkich kolbami.

W 1940 roku zlikwidowano urząd gminny w Wojkowicach Kościelnych, ale posterunek żandarmerii pozostał wzmocniony. Teren gminy podzielono pomiędzy sąsiednie gminy. Wschodnią część wraz z Warężynem i Kuźnicami włączono do Ząbkowic. Arbeitsamt – Urząd Pracy w Dąbrowie Górniczej dbał o to, aby każdy pracował i w tym celu już od 14 roku życia każdy otrzymywał swoją książkę pracy – Arbeitsbuch. Jeśli ktoś nie miał odpowiedniej pracy na miejscu, natychmiast wywożono go na przymusowe roboty w głąb Niemiec. Szwagra też skierowano do przymusowej pracy w Łabędach za Gliwicami, a stamtąd po kilku miesiącach przeniesiono do Pyrzowic, gdzie rozpoczęto budowę lotniska wojskowego. Do pracy w Pyrzowicach dojeżdżał codziennie rowerem.

Podstawą działalności okupanta był terror i zastraszenie. Łapani i wywóz mieszkańców, głównie mężczyzn, do obozów i na przymusowe roboty w głąb III Rzeszy, zaczęły się już w pierwszych dniach okupacji. Powody represji bywały różne, od nie ukłonienia się Niemcowi, za co groziło bicie kolbą, do poważniejszych, jak działalność w organizacjach podziemnych i ukrywanie Żydów. Te ostatnie karane były śmiercią na miejscu. Nielegalne przekraczanie granic między terenami włączonymi do III Rzeszy a Generalną Gubernią czy Reichem oraz ucieczka z przymusowych robót, ubój zwierząt rzeźnych, handel żywnością, czy brak dowodu tożsamości – karane było obozem koncentracyjnym. Najczęściej jednak ginęli ludzie bez wyraźnego powodu i tylko dlatego, że byli Polakami. Prawie codziennie dochodziły wieści, że gdzieś kogoś aresztowano czy rozstrzelano. W okolicach Koziegłów aresztowano 250 osób, część z nich rozstrzelano, a resztę wywieziono do obozów koncentracyjnych i do Niemiec, a za żandarma w okolicach Siewierza, który się zapił na śmierć, aresztowano 20 mężczyzn, z czego 10 powieszono, a pozostałych stracono w Auschwitz, tu i tam zamordowano dziesiątki ludzi, że tu i tam kogoś zastrzelono itp. itp. Chłopów karano, aresztowano i wywożono głównie za nie odstawianie w terminie rocznego kontyngentu: mleka (450 litrów), mięsa wołowego (35 kilogramów z 1 hektara), wieprzowego (20 kilogramów z 1 hektara), zboża, ziemniaków, jajek itp.

W roku szkolnym 1939/40 nie było nauki. Kierownika szkoły Władysława Szafrugę, za jego przedwojenną działalność i patriotyczną postawę, hitlerowcy chcieli aresztować, ale się skutecznie ukrywał, m.in. w Ujejscu. Jego rodzina mieszkała w części budynku starej drewnianej szkoły. Co działo się w tym czasie z nauczycielkami – nie wiem. Władze okupacyjne długo nie wyrażały zgody na naukę polskich dzieci. Dopiero we wrześniu 1940 roku, w otwartej pod nadzorem władz okupacyjnych, publicznej szkole powszechnej z polskim językiem nauczania, rozpocząłem naukę w III klasie. Kierowniczką szkoły została Łucja Piekarska, jedną z nauczycielek była Zofia Gromska, później aresztowana i wywieziona do obozu. Kiedy przybył nauczyciel Stefan Żak, wysiedleńca z Łeby, nie pamiętam. Nauka ograniczona była do rachunków, czytania i pisania, a zajęcia praktyczne odbywaliśmy na folwarcznych polach i przy zbieraniu ziół dla Wehrmachtu. Czytać wolno było tylko to, co zostało przez okupanta zatwierdzone. Biblioteka szkolna została wyrzucona. Książki leżały pod piwnicznymi schodami. Za rok szkolny 1940/41 otrzymałem dwujęzyczne zaświadczenie, w języku niemieckim i polskim, napisano na nim, że ukończyłem III klasę z wynikiem pomyślnym, bez wyszczególnienia przedmiotów. Opiekunką klasy była Łucja Piekarska.

Rok szkolny 1941/42 nie różnił się od poprzedniego, nadal podstawą była praca na folwarku i zbieranie ziół, powielaczowe kartki do nauki czytania i ścisły program do nauki rachunków. Za ukończenie IV klasy zaświadczenia nie odebrałem z powodu wysiedlenia, które zbiegło się z zakończeniem roku szkolnego.

Jesienią 1940 roku Niemcy utworzyli w Będzinie składnicę wszelakiego rodzaju użytecznych odpadów. Znajdowała się ona za dworcem kolejowym w pobliżu jakiejś fabryczki. Ojca interesowały odpady ze skóry dla reperowania obuwia, albowiem nowe buty można było kupić jedynie na tzw. „Bezugscheiny” wydawane, co kilka lat. Ponieważ jednorazowo można było kupić ograniczoną ilość tych odpadów, zabierał mnie z sobą i wtedy kupował podwójną ilość. Taki Bezugschein, z wielką literą „P” oznaczającą „Polen”, a zarazem gorszy gatunek, otrzymałem w 1944 roku, nie został zrealizowany i mam go na pamiątkę.

Odpady te leżały w sporych kupkach bezpośrednio na ziemi. Aby wybrać coś przydatnego trzeba je było dosłownie przekopywać. Były tam różnego rodzaju ścinki po wykrojach a nawet całe buty. Czasem można było znaleźć cały dobry but, gorzej było dobrać do niego parę. Czasem trafiały się większe kawałki skóry lub części niedokończonych butów – źle zszytych lub z niewłaściwymi podeszwami. Raz zdarzyło nam się znaleźć rzemieślniczą skórzaną torbę. Skóra była tak gruba, że nadawała się na podeszwy lub zelówki, ale ważyła znacznie więcej niż wypadało na nas dwóch. Długo się nie namyślając, Ojciec najpierw ją pobrudził ziemią, by nie wyglądała na nową a następnie założył na ramię i do niej włożyliśmy nasze dwie porcje. Przy wyjściu przed kasą wysypał z torby zawartość na wagę. Okazało się to sporo za dużo nawet na dwie porcje, więc sprzedający kazał mi ująć i zanieść z powrotem na miejsce. W tym czasie Ojciec zapłacił, włożył odważone ścinki do torby, niby własnej

i spokojnie wyszliśmy na zewnątrz ogrodzenia. Bywało, że Niemcy sprawdzali wychodzących, czy przypadkiem nie mają za dużo. Nam się wtedy udało.

Pewnego dnia idąc z Ojcem w Będzinie ulicą Modrzejowską w kierunku składnicy, usłyszeliśmy nie bardzo zrozumiałe dla nas krzyki. Staaliśmy, podobnie jak wszyscy idący chodnikiem. Nagle z za rogu wyłoniła się grupa ludzi, a obok stojący mężczyzna powiedział: „Znowu Żydzi pędzą stado Żydów do roboty”. Właśnie to określenie najbardziej odpowiadało temu, co widzieliśmy. Obok nas przygarbieni Żydzi biegli trójkami ulicą, a po bokach kilku z opaskami na rękawach wymachiwało kijami, krzychało bardzo głośno i biło tych w szeregu. Ktoś ze stojących dodał: „Popatrzcie, nie ma tu Niemców, sami Żydzi nad Żydami się znęcają”. Po kilku minutach w podobnym scenariuszu przepędzano kolejną grupę Żydów. Tak podobno działo się codziennie.

Po powrocie do domu przez wiele dni wyraźnie to przeżywałem i wtedy powróciły wrażenia a zwłaszcza niepewność, gdy wstępowaliśmy do różnych sklepów i sklepików, gdzie za ladami lub przed nimi stały postacie ubrane na czarno i w czarnych kapeluszach, niektóre z długimi pejsami, chodziliśmy po targowisku, na którym w obskurnych budach handlowały takie same postacie. Wszyscy oni mówili jakoś tak dziwnie jakby nas przedrzeźniali dodając, co chwilę słowo „Ój”, albo „Óś”. Tak samo ubrane były ich dzieci tylko, że na głowach zamiast kapelusza miały płócienne rondelki. Wtedy to, wśród tych jednakowo obskurnych kramów, jednakowych postaci i ogromnego zgłębku poczułem się trochę nieswojo, przypominały mi się słowa sąsiadów napominające dzieci, by się nie oddalały od domu, bo porwą je Żydzi i przerobią na macę. Mimowolnie przytuliłem się do Ojca i od niego się nie oddalałem a przecież Żydów się nie obawiałem, choć o nich słyszałem wiele różnych rzeczy i mogłem mieć jak najgorsze wyobrażenie. Spotykałem ich, prawie codziennie kręcących się po okolicy. A ponadto mając już doświadczenie ze straszaniem dzieci kominiarzem i babą z siewierskiej rogatki, nie mogłem jakoś uwierzyć również w to, że maca, żydowski rytualny placek pszeniczny, spożywany przez Żydów w dni świąteczne, podobnie jak nasz opłatek, musiał być przyprawiany krwią chrześcijańską oraz, że tę krew do macy zdobywali Żydzi przez zamykanie chrześcijańskiego dziecka w beczce z powbijanymi gwoździemi ostrym końcem do wewnątrz, a tocząc beczkę wytaczali krew, którą później dodawali do ciasta na macę.

Ojciec nigdy o Żydach źle się nie wyrażał, ale miał o nich swoje zdanie. Ogólnie było wiadomo, że jeśli Żyd Chrześcijanina rano nie oszuka, to ma dzień stracony, że Żydzi ukrzyżowali Pana Jezusa, ale o tym, iż Chrystus był również Żydem, już się nie mówiło, bo było by to wielką herezją i nikt nie miał odwagi głośno tego wyrazić, nawet gdyby o tym wiedział. Ja i moi rówieśnicy o tym nie wiedzieliśmy, tak dalecy byliśmy od tej myśli, że nikomu nie przyszło do głowy, aby snuć rozważania na temat, że Chrystus, będąc Bogiem, żył na ziemi jako człowiek i narodził się z matki pochodzącej z rodu dawidowego, czyli Żydówki.

Jak już wspominałem Żydów się nie bałem, bo często chodzili po wsi jako obnośni, czy obwoźni handlarze, więc wypróbowanym już na kominiarzu sposobie postanowiłem sprawę wyjaśnić u źródła. Na konsultanta wybrałem, jak mi się wydawało, poczciwego Icka, który bardzo często przejeżdżał swoją furką zaprzęzoną w chabetę i głośno a śpiewnie wykrzykiwał: „Śmaty, śmaty, bytelki, żelazła – kupuje”. „Drobie i jaje – tyż kupuje”. „Różności – sprzedawam”. Na tle tych wykrzykiwań powstały różne rymowanki, dowcipne i dosadne. Przytoczę tu jedną z tych dowcipnych:

Icek krzychał: śmaty, śmaty, bytelki, żelazła
aż mu kucka z portek wylazła.

Długo nie czekałem. Kilka dni po powrocie z Będzina pojawił się Icek i Mama go zatrzymała, by jakiegoś tam targu dobić. Skorzystałem z chwili, gdy Mama odeszła do domu i zapytałem poczciwego Icka: „Czy to prawda, że Żydzi przerabiają chrześcijańskie dzieci na macę i krew wytaczają w beczce z gwoździemi?” Odpowiedział mi krótko: „Nieprawda! Takie brednie opowiadają również sami Żydzi po to, aby dzieci chrześcijańskie się ich bały i nie dokuczały. Tobie to mówię jak mojemu Srulowi, bo ty Ickowi nie dokuczasz”. Nadeszła Mama i rozmowa się urwała.

Po jakimś czasie Icek ze swoim dobytkiem zatrzymał się przed naszym domem. Ojciec wyszedł mu na spotkanie, ale on poprosił go o przyprowadzenie mnie, bo chce pokazać mi swego Sruła. Gdy podszedłem Srul zszedł z wozu, a Icek powiedział: „Wy sobie teraz pogadacie a ja pojedę po wsi i wrócę po ciebie” w rozmowie ze Srulem, który był nieco starszy ode mnie, dowiedziałem się dopiero, że „Srul” to jest normalne imię, a nie jakieś tam brzydkie przydomkowanie, że „rondelki”, jaki miał na głowie i czarne ubrania to zwyczajny ubiór żydowski, że Żydzi między sobą rozmawiają swoim językiem i dlatego po polsku mówią źle, a co dla nas wygląda śmiesznie, że do macy żadnej krwi się nie dodaje, że my chodzimy do kościoła, a oni do bożnicy, że w Będzinie też ma kolegę chrześcijanina, ale tylko jednego, bo inni nie chcą się z nim bawić i „mame” też jemu nie pozwala bawić się z dziećmi chrześcijańskimi, że Icek „to nie jest żaden dziadek, tylko Tate od jego mame, a dziadek to jest taki mały dziad, który żebra”. Mama w międzyczasie dała nam po pajdzie domowego chleba z domowym masłem i po kubku mleka prosto od krowy. Srulek jadł i mlaskał, bo bardzo mu to smakowało a na koniec wylizał wszystkie swoje

palce. Jak Icek wrócił, to Srulek mu wszystko opowiedział po żydowsku i wtedy Icek dał mi jednego małego cukierka – tylko mnie.

Srulka więcej nie widziałem, ale idąc ulicą Modrzejowską w Będzinie (wtedy Będzin nazywał się Bendzburg) spotkał się z Icką, wyszedł nam niespodziewanie na przeciw z bocznej ulicy. Skulony, z gwiazdą Mojżesza na piersi, w kapeluszu zamiast mycki i szeptem powiedział: „Witam Pana Gospodarza i mówie dzień doby. Synowi tyż mówie dzień dobry. Dla Icka te dni nie są dobre. Dziecków nie ma. Żone mnie umarła. Macie co do sprzedania?”. Na powitanie odpowiedzieliśmy mu prawie jednocześnie i dalej Ojciec mu wyjaśnił, że „Niestety nic do sprzedania nie mamy, bo bydło pokolczykowali, drób spisali, mleko, jajka i zborze zabierają a gliniany chleb wydzielają nam na kartki”. Podobnej treści była też i dalsza ich rozmowa. Pod koniec zapytałem o Srulka. Icek jakoś tak niewyraźnie się skrzywił, ale po cichu powiedział Ojcu do ucha, że Srulek z matką i ojcem poszli na wschód do bolszewików. „Wszystko złoto musieli dać żandarmom, żeby ich przez granice przepuścili”. Jak szybko się pojawił, tak szybko zniknął – bez pożegnania, bo chyba wcześniej od nas posłyszał miarowy stukot buciorów szwabskiego patrolu. Wtedy Ojciec nie uwierzył Ickowi, że jego syn wraz z rodziną za złoto dane żandarmom przedostali się za wschodnią granicę i skwitował to krótko: „Biedny Icek, coś mu się pomieszało”. Dziś wiadomo, że zgodnie ze specjalną umową Hitlera ze Stalinem taka wymiana żydowskich komunistów odbywała się aż do połowy 1941 roku – do napaści Hitlera na ZSRR. Zgodnie z tą samą umową współpracowały ze sobą NKWD i Gestapo, m.in. W sprawie polskiej partyzantki. Bogaci Żydzi, też za złoto wypuszczani byli na Zachód. Tylko biedota żydowska szła do gazu – o nich Rockefellerowie nie chcieli słyszeć.

W środę 24 czerwca 1942 roku idąc lasem do babci mieszkającej na Kosturach, by jej powiedzieć, że Mama jest chora, spotkałem w lesie mężczyznę, wysokiego, bez nakrycia głowy, w butach z cholewami naciągniętymi na spodnie typu bryczesy, bo taka była wtedy moda, ale w luźnej rozpiętej marynarce. Podszedł do mnie, gdy zbierałem łożynie i zapytał gdzie idę i skąd jestem. Powiedziałem, że idę do babci na Kostury, a mieszkam na Kuźnicy Warężyńskiej. Powiedział wtedy, że jest mu po drodze i kawałek pójdziemy razem. Nie miałem nic przeciwko temu. Wtedy mniej bałem się ludzi spotkanych w lesie i bardziej im ufałem, niż spotkanych na drodze. Spotkany na drodze mógł być „szwabem” lub „folksdojczem”, a w lesie i jeszcze będący samotnie na pewno nie był dla mnie groźny. W dalszej rozmowie wymieniłem mu swoje nazwisko i wtedy on powiedział mi, że bardzo dobrze zna moją rodzinę, a na potwierdzenie wymienił imiona moich rodziców i siostr, a także podał wiele szczegółów, które całkowicie mnie upewniły, że jest dobrym znajomym naszej rodziny. Swego nazwiska ani imienia jednak nie wymienił, a ja go nie pytałem. Szliśmy razem leśną drogą kilkaset metrów. Przy rozstaniu powiedział, że dobrze mu się ze mną rozmawiało i jeśli w przyszłą środę będę w tym samym miejscu, to może się spotkamy. Przytaknąłem bez namysłu, ale po pewnym czasie zacząłem się zastanawiać czy dobrze zrobiłem, że tak pochopnie wyraziłem swoją chęć na spotkanie. Po powrocie do domu wspominałem o spotkaniu, ale nie zwróciło to niczyjej uwagi, zajęci byli bowiem chorobą Mamy.

Pierwsze wysiedlenie rozpoczęło się o godz. 3 rano w piątek 26 czerwca 1942 roku otoczeniem okolicy przez hitlerowców, głównie żandarmerię i strażników więziennych z Haagi w Łagiszy – filii obozu koncentracyjnego Auschwitz. Wysiedleniem objęto Warężyn, wszystkie Kuźnice oraz Dąbie i Gołaszę.

W naszym domu mieszkały dwie rodziny: rodzice ze mną (12 lat), oraz moja siostra Józefa z mężem Bolesławem Drużyńskim i trojgiem dzieci (4, 3 i 1,5 roku). Tego ranka dorosłych domowników początkowo zaintrygowały przejeżdżające przez Kuźnicę Warężyńską w kierunku Warężyna i Dąbia samochody wypełnione żandarmami. Poza dziećmi nikt ze starszych już nie spał. Szwagier przygotowywał się do pracy, a siostra przygotowywała mu śniadanie, aby zdążyć dojechać na rowerze do Pyrzowic musiał wcześniej wychodzić z domu. Ojciec czuwał przy Mamie, ponieważ leżała chora, mając wrzód w gardle. Od kilku dni nie jadła, miała kłopoty z pićm i mówieniem, ledwie mogła oddychać. Oczekiwaliśmy lekarza z Łagiszy, miał przyjechać rano.

Szybko jednak stało się oczywistym, że od dawna przewidywane wysiedlenie Warężyna stało się faktem. O Kuźnicy mowy nie było, ale z pewnym niepokojem śledziliśmy w ubiegłym tygodniu wizytę kilku samochodów osobowych z cywilami i w mundurach. Kilkakrotnie powoli przejeżdżali oni nasze wioski obserwując dokładnie wszystkie zabudowania. Nie wykluczało się najgorszego.

Już nie spałem, kiedy przed naszym domem, na przeciwległym poboczu, zatrzymały się dwa samochody osobowe. Wsiadło z nich pięciu oficerów. Dwoch poszło dalej pieszo, trzech pozostało. Ci, co pozostali siedzieli w otwartych drzwiach samochodów, bądź stali między samochodami i rozmawiali. Co jakiś czas nadjeżdżał samochód, wsiadał z niego mundurowy, coś meldował i odjeżdżał. Przychodzili też pieszo i meldowali. Szwagier z moim ojcem doszli do wniosku, że mamy przed domem sztab akcji, na razie nikt nie chciał powiedzieć głośno, że wysiedleńczej.

Szczęśliwie dla nas, tak się usadowili, że widzieli tylko część naszego podwórka. Można więc było wyjść z domu i udać się poza dom nie będąc w polu widzenia hitlerowców. Właśnie tą drogą, za opłotkami, przyszła do nas z trzeciego domu babcia (mama mamy), gdzie mieszkał brat mamy

Bolesław Solipiwo z żoną i pięciorgiem dzieci. Babcia, jak już wspomniałem wcześniej, mieszkała w innej miejscowości na Kosturach i po mojej wizycie przyszła odwiedzić chorą córkę (moją Mamę), ale zamieszkała u swego syna. Przychodziła i odchodziła tą samą drogą kilka razy.

Przez jakiś czas nic się nie działo i nagle pojawiła się furmanka (podwoda), a na niej dwie rodziny sąsiadów z tobołkami, mieszkali na końcu wsi. Widać było zapłakane kobiety i dzieci. Za nimi następne furmanki z Warężyna i z Kuźnic, bez przerwy, dowoziły wysiedleńców na punkt zborny do szkoły w Wojkowicach Kościelnych i wracały puste. Furmanki były konwojowane przez uzbrojonych żołdaków. W międzyczasie słychać było strzały, jak się później okazało, strzelali hitlerowcy za uciekającymi w pole.

Zapanował w domu strach, byliśmy przekonani, że przyjdą i po nas. Co będzie z mamą? Słaba sama wstać nie potrafi, a że to hitlerowców nie wzruszy też byliśmy przekonani. W co ją ubrać i jak zanieść na furmankę, gdzie nas zawiozą i jaką tam będzie miała opiekę. Czy będzie tam można liczyć na pomoc lekarza, zresztą nie wiadomo czy i tu też go wpuszczą? Zajęci wszyscy sytuacją wewnętrzną, bo oprócz Mamy, były też małe dzieci siostry, tylko z rzadka już obserwowaliśmy wywożonych ludzi i zachowanie sztabu. Nie pamiętam byśmy tego ranka jedli śniadanie.

Około pierwszej po południu weszło na podwórko trzech Niemców, dwóch z karabinami, trzeci prawdopodobnie oficer z dokumentami w ręku. Ukryliśmy się odruchowo w głębi mieszkania, by nas nie było widać przez okna. Babcia była z nami. Na spotkanie wyszedł im szwagier. Po chwili zawołał: „Józia!., przynieś mi szybko metrykę naszego ślubu”. Siostra naprawdę bardzo szybko znalazła dokument i zaniósła go na podwórze. Słychać było podniesiony głos hitlerowca i po kilku minutach Niemcy wyszli na drogę i poszli dalej w kierunku szosy Katowice - Warszawa, minęli sąsiada i skręcili w lewo, w boczną drogę, w kierunku domu wujka, brata mamy, u którego zatrzymała się babcia. Czy go też minęli – nie było można zobaczyć, przeszkadzały zabudowania. Sąsiad pracował w kopalni i dlatego nie było go na liście do wysiedlenia. Wujek był robotnikiem leśnym.

Po chwili do pokoju weszła siostra, a za nią szwagier, oboje bladzi i ledwie trzymający się na nogach. Dopiero po chwili szwagier wydukał, „Na razie spokój, pokazałem im dokumenty, że pracuję przy budowie lotniska wojskowego (w Pyrzowicach), dokładnie je sprawdzili i poszli”. Nic więcej nie chciał mówić. Był bardzo mocno zdenerwowany.

I znowu upłynęło kilka minut, gdy dodał: „Jak byłem na podwórku wieźli Adama”. Adam Solipiwo, to wnuk babci po starszym synu Józefie, bracie Mamy. Babcia obserwując drogę zauważyła, że przy bocznej drodze pojawił się żołnierz i kieruje powracające furmanki w tym kierunku, w którym poszli trzej hitlerowcy. Niewiele upłynęło czasu, gdy usłyszeliśmy szept babci, wiozą Bolka i rozplakała się. Bolek, to młodszy syn babci, u którego była parę minut temu. Ojciec mój podszedł do niej i powiedział: „Miałaś mamę szczęście. Furmanki nadal wywoziły sąsiadów”.

Po popołudniu zjawił się lekarz z Łagiszy, przepuszczono go, bo był Niemcem, dokonał operacji i odjechał. Wtedy zorientowaliśmy się, że furmanki przestały już jeździć.

Szwagier, teraz już spokojnie opowiedział nam, co stało się na podwórku. Na pytanie Niemca, czy tu mieszka Paluch Józefa (twierdził, że tak zrozumiał – Józef to mój ojciec, a Józefa to jego córka), odpowiedział: „To jest panięskie nazwisko mojej żony, a ja pracuję przy budowie lotniska wojskowego „Udetwelt”. Pokazał im posiadane dokumenty. Dokładnie je przejrzeni i zażądali potwierdzenia, że jego żona tak się nazywała. Poprosił więc żonę o przyniesienie metryki ślubu. Po również dokładnym obejrzeniu przyniesionej metryki i kilku soczystych przekleństw poszli. Takim to zbiegiem okoliczności, jak twierdził szwagier, przez niego niezamierzonym, nie podzieliliśmy losów wywiezionych sąsiadów, a z nami niewątpliwie babcia.

Późnym popołudniem pojawiły się samochody ciężarowe z obcymi ludźmi i dziwnymi ładunkami. Okazało się, że przywieziono osiedleńców niemieckich, przyszyłych bauerów i naszych panów. Na te same samochody załadowano później naszych wysiedleńców i wywieziono na stację kolejową w Ząbkowicach.

Odjechały też samochody sztabowe i ciężarówki z wojskiem. Nastąpiła przerażająca cisza. Mama czuła się lepiej, mogła swobodnie oddychać i trochę piła. Poszedłem z babcią, jeszcze za opłotkami, do domu wujka Bolka. Drzwi były otwarte. Wewnątrz wszystko porozrzucane. Babcia zaczęła zbierać swoje rzeczy i pakować. Jeszcze przed wieczorem poszła do swego domu.

Gdyby nie przypadek spotkałoby nas to, co przeżyli wiezieni na furmankach. Mielibyśmy dziesięć minut na spakowanie tobołków (jeden na osobę). Po tym czasie popychani i bici kolbą w pośpiechu wsiałalibyśmy na furmankę.

Po wysiedleniu sytuacja zmieniła się zasadniczo, bauerzy szybko poczuli się panami. Pozabierali cały inwentarz żywy, maszyny i narzędzia rolnicze, nam została para królików, bo ich nie znaleźli, ale słoma w stodółce okazała się także ich własnością. Drobne narzędzia rolnicze i gospodarskie pospisywali jako też już swoją własność. U nas z niektórymi narzędziami mieli kłopot, bo wiele unikalnych narzędzi, Ojciec wykonał własnoręcznie, nie wiedzieli, do czego służą i jak je nazwać. Np. tragic (taczki bez korytka, do przewożenia słomy, trawy) nie wiedząc jak nazwać nie wpisali, ale kazali

mi zawieźć na podwórko bauera. Okazało się, że nasz dom, pole przy domu i my (rodzice ze mną) należymy do jednego bauera Seidel Friedricha osiedlonego na Kuźnicy Warężyńskiej 19, w domu Sobczyka Konstantego i Kunegundy Chmielewskiej. Nasz inwentarz przydzielono innemu bauerowi, Sturokos Michaelowi osiedlonemu na Kuźnicy Warężyńskiej 22, w domu Gwoździa Józefa. Pozostałe nasze kawałki ziemi, zgodnie z nowym podziałem, przypadły jeszcze innym bauerom. Średnio jednemu bauerowi przydzielono około 12,5 hektara ziemi.

Rodzice od świtu do nocy, z przerwą na obiad, musieli odtąd pracować w polu u bauera. Dzieci też zapędzano do roboty w polu, a mniejsze musiały paść krowy. Pracowali wszyscy prawie za darmo, bo za otrzymane fenigi ledwie można było wykupić głodowe przydziały kartkowe. Jesienią, w przypływie dobrego humoru bauera, dostawali niektórzy trochę ziemniaków czy przysłowiowej brukwi, tych samych, które zasiali i zasadzili wiosną na własnym polu. Rodzina siostry, ponieważ szwagier jako wykwalifikowany rzemieślnik – stolarz i cieśla zatrudniony przy budowie lotniska wojskowego w Pyrzowicach, nie podlegała wysiedleniu i formalnie nie podlegała władzy pana bauera, ale mieszkała w jego domu. Wobec tego, mimo opieki nad trojgiem małych dzieci, też musiała chodzić do roboty w polu. Mnie zatrudniano głównie przy pracach pomocniczych w polu i w obejściu bauera. Pewnego dnia, w czasie przerwy obiadowej, wszedłem do naszego warzywnika, wydawało mi się, że to nasz, urwałem kilka strąków grochu i zacząłem jeść, nagle zjawił się bauer, uderzył mnie w twarz i wypędził.

Po zbiorach zaorano miedze, zacierając ostatecznie dawny podział. Po tym wyraźnie dało się odczuć, że mieszkaliśmy też już nie we własnym domu, ale łaskawie w domu bauera. Ocalone króliki dawno już zostały zjedzone, trochę też z tego powodu by nie zostały wykryte i zabrane. Jako wyżywienie pozostały nam tylko głodowe kartki żywnościowe i nieoficjalne zapasy. Inne dzieci w moim wieku, nie od świtu do zmroku, ale też musiały pracować. Toteż, gdy nadszedł wrzesień o pójściu do szkoły nie było mowy. Była to już druga moja przerwa w nauce. Pierwsza, to stracony cały rok szkolny 1939/40, gdyż dopiero od września 1940 roku Niemcy pozwolili uruchomić szkołę dla polskich dzieci.

Po otrzymaniu informacji o miejscu pobytu naszych wysiedleńców, pozostałe na miejscu rodziny, starały się jakoś zdobyć trochę pożywienia, zapakować i przekazać do Polenlagru w Orzeszu. Pakowało się paczki ze ściśle określoną ilością ściśle określonych produktów i ktoś je zawoził do lagru.

Tydzień minął a ja w następstwie zdarzeń zapomniałem o obiecanej spotkaniu w lesie. Pobiegłem dopiero w następną środę i sporo łochyńni zjadłem nim „On” do mnie po cichu podszedł z tyłu. Powiedział mi, że przyszedł specjalnie, bo był ciekawy, czy w ogóle przyjdę i prosił, abym mu opowiedział dokładnie przebieg wysiedlenia i jak zachowują się bauerzy. Pytał o kilku sąsiadów, czy zostali wywiezieni, czy pozostali na miejscu, itp. Wspomniał, że często w środy tędy przechodzi, więc jeśli będę chciał się z nim spotkać, to mogę przyjść. Mnie te spotkania, nie wiem dlaczego, ale mocno pociągały i cieszyły, chciałem tam być w każdą środę. Niestety nie często mogłem, bo musiałem pracować u bauera, a ponieważ i „On”, bo tak go na swój użytek nazywałem, też nie zawsze mógł być, spotykaliśmy się stosunkowo rzadko a rozmowy dotyczyły głównie bauerów. Niekiedy pytał mnie o osoby, które jak się później zorientowałem, chciałyby się im przypodobać.

Jesienią niemieccy osiedleńcy, na prowizorycznie przygotowanym placu, zorganizowali sobie festyn, a swoim i przywiezionym dzieciom niemieckim igrzyska sportowe. Była muzyka, suto zastawione stoły, ognisko i śpiewy. Paradny przemarsz „HJ-tów” i różne zawody sportowe. My polskie dzieci przyglądaliśmy się z daleka, bo zbliżać się nie było nam wolno. Jedyną z tego dla nas uciechą było to, że jeden z uczestników, w odświętnym mundurku Hitlerjugend, wpadł po pas do niezbyt solidnie zasypanego szamba u Hajdukiewiczów.

Otrzymaliśmy wiadomość, że: „Lada chwila Niemcy otoczą wieś, będzie drugie wysiedlenie, że jesteście na liście do wysiedlenia i musimy uciekać”, było to na piętnaście minut przed kolejnym wysiedleniem, tuż przed godziną czwartą rano. Dzięki tej wiadomości zdążyliśmy umknąć i po raz drugi uniknąć wywiezienia do obozu.

Ubraliśmy się szybko. Ojciec na sanki położył jakieś narzędzia, że niby to idziemy do pracy i poszliśmy po zmarzniętym śniegu przez pola, groblą do szosy, a po przejściu mostów na obu odnogach rzeki Czarnej Przemszy, skręciliśmy w łąki, kierując się na przełaj do mojej starszej siostry Wiktorii Serafin mieszkającej ze swą rodziną na Pierkowskim (kolonia Wojkowic Kościelnych). Idąc łąkami słyszeliśmy za nami terkot samochodów, to przyjechali hitlerowscy żołdacy, by otoczyć teren.

Czekaliśmy u siostry, niepewni dalszego naszego losu i losu pozostałej na miejscu rodziny, a wieści żadnych nie było. Teren objęty wysiedleniem był szczelnie zamknięty i nikt nie mógł wyjść, ani do niego wejść. Mniej więcej około godziny 9-tej na przełaj przez łąki doszedłem do szosy i schowany w zaroślach starałem się wypatrzeć, co dzieje się na Kuźnicach. Przed 10-tą zauważyłem, że drogą z Kuźnicy w kierunku Wojkowic Kościelnych idą dwie osoby. Rozpoznałem Kochańczyków i podszedłem do drogi, by ich zapytać, co się tam dzieje. Zobaczywszy mnie Kochańczyk, najpierw się rozejrzał naokoło, a następnie powiedział: „Uciekaj szybko i nie pokazuj się tu więcej, a zwłaszcza na Kuźnicy!”

Po południu około godz. 14 zjawił się szwagier Drużyński z informacją, że otrzymał podwodę i już przewieźli, co mogli zabrać, na nowe wskazane mu miejsce zamieszkania w starej, nieczynnej, jeszcze

carskiej, szkole w Wojkowicach Kościelnych. Z relacji szwagra, siostry i ich najstarszej córki Janiny wiem, że faktycznie byliśmy na liście do wysiedlenia ze skierowaniem do Polenlagru a dalszej kolejności wywieziono by nas, podobnie jak innych, na przymusowe roboty w głąb III Rzeszy. Przyszli po nas około godziny 9. Tak jak podczas poprzedniego wysiedlenia szwagier wyszedł im na spotkanie przed dom. Na polecenie żandarma, aby Paluch Józef z rodziną natychmiast się ubierali i wychodzili odpowiedział, że nas nie ma, bo rodzice żony wraz z synem poszliśmy pomóc rodzinie w pracach gospodarskich. Ta odpowiedź tak rozsierdziła żandarma, że zaczął krzyczeć, kłąć po niemiecku i wygrażać szwagrowi pięścią, a stojący z nim drugi żandarm skierował w jego kierunku lufę karabinu. Słyszac to siostra i widząc przez okno wybiegła na podwórko trzymając w rękę wcześniej już przygotowane dokumenty szwagra świadczące o tym, że pracuje na lotnisku wojskowym „Udetweld” w Pyrzowicach. Wrzeszczący żandarm, natychmiast i ją ustawił pod ścianą obok męża, pod lufą karabinu a sam wszedł do domu i pytał wystraszone dzieci gdzie my jesteśmy. Pytali nawet sąsiadów, gdzie myśmy się ukryli. Dzieci i sąsiedzi o niczym nie wiedzieli, a siostra ze szwagrem stwierdzili zgodnie, że poszliśmy pomóc rodzinie. Po trwających wiecznie przesłuchaniach, poszturchiwaniach kolbami i grożeniem śmiercią, obozem Auschwitz itp. nareszcie wrzeszczący żandarm podskoczył do siostry i wyrwał jej papiery z ręki. Widocznie widniejące na nich „wrony nad swastykami” trochę go uspokoiły. Szybko przejrzał przyniesione dokumenty i zwracając się do siostry zapytał: „A gdzie jest ten Drużyński?”. Wskazała mu stojącego obok szwagra. Wtedy już spokojniej popatrzył w listę i dodał: „Wy też będziecie wysiedleni i musicie się przenieść do starej szkoły w Wojkowicach Kościelnych. Za 15 minut przyjedzie po was furmanka”. Zaczęło się zbieranie wszystkiego, co było pod ręką, a gdy faktycznie po 15 minutach podjechała furmanka, przy pomocy miejscowego furmana, załadowano na nią również nasze rzeczy. Z mebli, nadzorujący żandarm, pozwolił zabrać tylko jedno łóżko dla dzieci. O 9³⁰ opuścili podwórko. Na końcu wsi dołączyli do stojącej tam już furmanki z rodziną Tworków i czekali na następne. Do Wojkowic Kościelnych dojechali dopiero około godziny 11.

W tym zamieszaniu mieliśmy też wiele szczęścia, bo przy takich wielkich krzykach wysiedlający żandarm zapomniał zapytać o adres rodziny, do której się udaliśmy i dlatego w czasie godziny policyjnej. Za przebywanie w godzinach policyjnych poza domem bez wyraźnego zezwolenia grożono obozem koncentracyjnym.

Zaraz po odjeździe furmanki z rzeczami Drużyńskich do naszego domu na Kuźnicy wprowadziła się Irmina Chmielewska z ojcem i synem. Ich zabudowania w czerwcu zajął bauer. Mąż jej, policjant, nie wrócił z wojny. Między wysiedleniami mieszkali w domu wywiezionego z rodziną do Polenlagru Adama Solipiwnka. Przeprowadzili się do naszego domu za zgodą bauera, bo nasz dom był wygodniejszy.

Nowe miejsce zamieszkania, to po prostu dawna sala lekcyjna w kształcie prostokąta o wymiarach 7 na 8 metrów, w dwóch ścianach po dwa okna, w trzeciej trzy okna, a czwarta ściana, łączyła się z pozostałą częścią budynku przeznaczoną na mieszkanie dla kierownika szkoły. W północnym rogu sali były drzwi wejściowe z maleńkiej sionki. W zastanej sali na samym środku stał tylko jeden stół, ale za to o rozmiarach pingpongowego. W środku ściany bez okien był otwór kominowy i do niego podłączyliśmy żelazny piec 3 fajerkowy na czterech nóżkach tzw. kożę. Od kogo otrzymaliśmy ten piec nie wiem, faktem jest, że został przez kogoś przyniesiony, a ja pomagałem go czyścić a później podłączyć. Wiem natomiast, że wiadro węgla przynieśli nam Kaniowscy. Mama rozpałała ogień, piec zaczął się rozgrzewać i wydzielać bardzo nieprzyjemne zapachy. Ojciec mówił, że to normalne, bo piec długo nie był używany i musi się przepalić. Mimo zimna w mieszkaniu i mrozu na zewnątrz trzeba było pootwierać okna.

Przywiezione meble na jednej furmance musiały wystarczyć dla obu rodzin. Przy składaniu łóżek okazało się, że jedno, to zabrane skrycie, zostało tak mocno uszkodzone, iż nie nadaje się do użytku. Brakowało też dwóch sienników, bo zostały podarte przy załadowywaniu i pozostały na Kuźnicy. W tej sytuacji ja i moi rodzice, tę pierwszą noc na nowym miejscu, przespaliśmy na podłodze. Nazajutrz wstaliśmy bardzo wcześnie jeszcze było ciemno. Szwagier pojechał do pracy, dzieci siostry spały, a my przy świetle karbidówki porządkowaliśmy przywieziony dobytek, stwierdzając co chwilę, że czegoś brakuje, zarówno z ubiorów jak też sprzętu domowego. Nie przywieziono szafy, bo nie było czasu jej rozebrać. Nie zabrano nic ze strychu, bo nie pozwolili tam wchodzić. Nie pozwolono zabrać nic ze sprzętu gospodarskiego i narzędzi, bo to wszystko było już własnością bauera. Jak już było widno wybraliśmy się do siostry na Pierkowskie.

Po drodze zatrzymali nas Kaniowscy, a gdy z rozmowy dowiedzieli się, że idziemy po jakieś worki, by z nich uszyć sienniki, po słomę do nich i parę desek na łóżka, to nas już dalej nie puścili. To wszystko otrzymaliśmy od nich.

Wodę czerpaliśmy z przydrożnej studni abisynki znajdującej się przy areszcie. Ubikację przydzielono nam na sąsiedniej posesji w zespole dawnych budynków Urzędu Gminnego. Do tego ogrodzonego zespołu należały: budynek dawnego Urzędu Gminy, w którym obecnie mieszkał komendant miejscowego posterunku żandarmerii, murowane więzienie z przylegającą do niego piwnicą i wolnostojące drewniane pomieszczenia gospodarcze. Za tymi pomieszczeniami gospodarczymi był

zespół trzech ubikacji, jedną użytkowała rodzina komendanta, drugą nam przydzielono, a trzecia, prawdopodobnie przeznaczona dla aresztantów, była zawsze zamknięta.

Na tym żelaznym piecu gotowało się dla dwóch rodzin i nim ogrzewało w zimie. Co prawda my (rodzice i ja) ulokowaliśmy się tam nielegalnie. Pięciosobowa rodzina siostry zajęła dwa kąty południowy i zachodni, my kąt wschodni. Pozostało jeszcze dużo miejsca. Wyjście z budynku poprzez sionkę było bezpośrednio na ulicę.

Centrum Wojkowic Kościelnych, gdzie zamieszkaliśmy, składało się z terenu kościelnego z kościołem i organistówką, nowej szkoły, budynku posterunku żandarmerii, posiadłości proboszcza, terenu gminy, starej szkoły, w której zamieszkaliśmy wraz budynkiem gospodarczym Szafrugów i ogrodem, gospodarstwa Kaniewskich i zabudowań dworskich. Zabudowania Kaniewskich były po drugiej stronie drogi i graniczyły z gruntami plebańskimi. Za nimi do najbliższych zabudowań, czyli do kolonii Chałupki, było około 200 metrów. Byli to jedyni z sąsiadów, którzy zaraz po naszym zamieszkaniu zainteresowali się nami i udzielili pomocy. O tym już była mowa wcześniej, ale dobro warto przypomnieć. W pierwszy wieczór przynieśli nam wiadro węgla, a następnego dnia dali nam worki do uszycia sienników, słomę do nich i deski na łóżka. Przez cały czas naszego tam zamieszkiwania rodzice byli z nimi w stałym kontakcie.

W drugiej połowie budynku mieszkała rodzina przedwojennego kierownika szkoły, aktualnie ukrywającego się, bo poszukiwanego przez hitlerowców za swą patriotyczną działalność. Rodzina ta składała się z żony kierownika, wywodzącej się z Głazewskich – właścicieli młyna na Tuliszwie, córki Krzysi pracującej w sklepie na Kuźnicy Wareżyńskiej, syna Henryka pracującego w folwarku i najmłodszej córki Teresi pomagającej matce w prowadzeniu gospodarstwa oraz służącego Władysława Krawczyka z Kuźnicy Wareżyńskiej. Uprawiali posiadaną ziemię i hodowali, co najmniej dwie krowy, wieprzka (słysząc było czasem jego kwiczenie) oraz drób. Stosunków towarzyskich z nimi nie utrzymywaliśmy prawie żadnych, poza dzień dobry przy przypadkowym spotkaniu, bowiem mieliśmy osobne wyjście bezpośrednio na ulicę. Widzieliśmy ich wszystkich codziennie przez okna, bo aż dwa nasze okna były w ścianie przyległej do podwórka, a inne trzy wychodziły na ich ogród. Chociaż zdarzyło się 3 lub 4-ro krotnie, że Teresa zastukała w okno i podała dla dzieci kubek świeżo udojonego przez nią mleka.

Najbliżej miałem na plebanię, bo tylko przechodziłem na drugą stronę ulicy i przeskakiwałem przez mur. Tam też przebywałem najczęściej. Stąd się wzięły dalej opisane epizody jak: „Strojenie organów”, „Kolęda”, „Wyjazdy do Dziewek”, czy „Przeprowadzka wikarego”. Byli też sąsiedzi przypadkowi i krótkotrwali – aresztanci. Murowany budynek aresztu przylegał do posesji Szafrugów i nie był pilnowany. Nawijanie z nimi kontaktu, odbywało się głównie nocą przyciszonym głosem, poprzez zakratowane i oblauchowane okno, miało na celu ustalenie tożsamości aresztanta i ew. przekazanie wiadomości dla, lub od niego. Przy pomocy szpagatowej wędki podawaliśmy im wodę w słoiczku oraz papier i ołówek do zwrotu, bo były przywiązane do sznurka. Z żywnością było gorzej, bo sami jej nie mieliśmy, czasem dołączali się inni sąsiedzi lub rodzina aresztanta. Jeden z nich poprosił o łyżkę z ostro zakończonym uchwytem, otrzymał ją po godzinie – podobno ją wykorzystał przy wsiadaniu do pociągu i uciekł. Kontaktowanie się z aresztantami było bardzo ryzykowne, gdyż 20 metrów dalej mieszkał komendant żandarmerii z rodziną, obowiązywała godzina policyjna i zakaz kontaktu z aresztantami pod karą, co najmniej wywiezienia do obozu koncentracyjnego.

Komendant żandarmerii wraz z rodziną – żoną i dwójkiem dzieci, mieszkał w budynku dawnej Gminy. Przez ich podwórko chodziliśmy do ubikacji, kilkakrotnie w ciągu dnia. Kłaniać się każdorazowo komendantowi i jego żonie było obowiązkiem każdego Polaka. Często bywało, że bawiące się dzieci komendanta zwracały się do matki by zaprosić do zabawy przechodzące, w podobnym wieku, dzieci siostry, ale komendantowa nie wyrażała na to zgody. Komendant najczęściej udawał, że nas nie widzi.

W obrębie ogrodzenia terenu przykościelnego mieściła się organistówka. Mieszkał tam organista Jan Barysz z rodziną. Mieli dziewięcioro żyjących dzieci i tylko jedna zamężna córka mieszkała w mieście. Jej córka, czyli wnuczka, była starszą od najmłodszej z córek rodziców. Kontakty moich rodziców z nimi w tym okresie też były sporadyczne i raczej związane z obsługą kościoła. Zresztą tak wielka rodzina pod względem towarzyskim była samowystarczalną – żyli własnym życiem. Ja natomiast, jako ministrant i przez pewien czas zastępujący kościelnego, z organistą spotykałem się bardzo często i w różnych okolicznościach. Spaliśmy nawet w jednym łóżku w Goląszy, gdy z wikariuszem odbywaliśmy kolędę w styczniu 1943 roku. Piszę o tym dalej. Synowie organisty byli znacznie starsi ode mnie i pracowali głównie w folwarku, więc z nimi kontaktu nie miałem. Z najmłodszą córką Alicją, o rok starszą ode mnie, spotykałem się w szkole, a ze starszą od niej Henryką pracowałem razem przy czyszczeniu i strojeniu organów oraz przy kopaniu okopów, gdzie pełniła rolę tzw. pisarza spisującego dniówki. Widywałem ją też często na plebani, przychodziła tam na pogawędkę do pokojówki Stefanii Huras.

Plebania, to symetryczny budynek z gankiem i nadbudówką pośrodku, również od strony ogrodu. Główne wejście z gankiem od strony ulicy i podobne do ogrodu. Do zachodniej części, tzw. kancelarii, prowadziło dodatkowe wejście osłonięte małym ganeczkiem oraz wejście z podwórka do sieni a z niej do ogromnej kuchni. W środku tej kuchni stał słup drewniany podpierający sufit. Na tym słupie na gwoździu wisiały klucze od kościoła. Pod oknami były ławy do siedzenia, a w kącie pomiędzy drzwiami prowadzącymi na pokoje proboszcza i do pokoju kucharki stał wielki piec kuchenny z równie dużym piekarnikiem do wypieku chleba. Przy bocznych ścianach stał wielki stół kuchenny i kredens. Wikariusze mieszkali na piętunku, a goście w części zachodniej. Na duże podwórko prowadziła masywna brama, kiedyś z pomieszczeniem dla dozorczy. Kilka metrów od bramy, po prawej stronie była studnia z zadaszoną cembrowiną i kołowrotem. Na łańcuchu nawiniętym na kołowrocie wisiało wiadro obciążone z jednej strony kawałkiem metalu dla łatwiejszego nabierania wody. Po lewej stronie stożkowy nasyp ziemny krył wejście tunelu prowadzącego do wody. W ścianach tego tunelu były nisze z półkami do przechowywania produktów żywnościowych – dzisiejsza chłodziarka. Po obu stronach podwórka ciągnęły się zabudowania gospodarskie, a zamykała go wielka dwuwrotowa stodoła. Przestrzenie między budynkami zamykały mury z wrotami lub bramkami. Przez żelazną bramkę przy plebanii wychodziło się do dużego ogrodu wysadzonego drzewami owocowymi, głównie jabłonią, różnego rodzaju krzewami i rabatami kwiatowymi przy zadbanych alejkach.

Na plebanii bywałem często, przeważnie w kuchni, bo tam wieczorami zbierali się domownicy (za wyjątkiem proboszcza) i kilkoro młodzieży, rówieśników pokojówki Stefanii Huras oraz jej siostry. Byłem od nich o wiele młodszy, ale traktowali mnie prawie na równi, z tym, że ja zawsze wcześniej wychodziłem do domu a oni zostawali. Jeśli był, to prym zawsze wodził wikariusz. Proboszcz był bardzo przyjazny naszej rodzinie. Często zatrudniał mnie i Mamę przy pracach w ogrodzie. Dobrze płacił i częstował owocami. Z Ojcem też często rozmawiali w ogrodowej altance. Miał do mnie pełne zaufanie. M.in. miałem jego zgodę na zabieranie kluczy od kościoła, a nawet opróżniania kościelnej skarbonki, naturalnie wręczonym mi kluczem i przy jego obecności w kościele. Spełniałem też wiele jego osobistych poleceń, jak na przykład opisany poniżej epizod z kradzieżą świątka. Z wikariuszem też mieliśmy wiele wspólnych tajemnic, nie mówiąc już o „wyjazdach do Dziewek”.

Drugi podobny budynek wybudowany przez Ciepłińskiego na przełomie XIX i XX wieku, którego dwie trzecie zajmował posterunek żandarmerii, a jedną trzecią sklep, stał naprzeciwko kościoła, przy skrzyżowaniu klinkierowej szosy Katowice - Warszawa z bitą drogą do Ujejsca i Ząbkowic. Ogródek i tylne podwórko było ogrodzone płotem. Na podwórku od strony plebani stało kilka komórek, na opał i inne drobiazgi, m.in. W jednej z nich przechowywano zarekwirowane radioodbiorniki. W czerwcu 1942 roku wysiedlono również właścicieli sklepu, sklep zabrano i osadzono Niemca z rodziną nazwiskiem Haas. Był garbatym i kulawym, żonę miał dużo młodszą od siebie i syna w wieku przedszkolnym. Zachowywali się spokojnie i byli grzeczni w stosunku do klientów Polaków. Sprzedawali jednak tylko to, co było przepisane i nic więcej. Wiele razy pomagałem mu przy wyładowaniu towarów, za co otrzymywałem coś do zjedzenia, pewnego razu dostałem około pół litra ślimaków w sosie własnym. Byłem świadkiem jak jego synek zaczął coś niepoehlebnego wykrzykiwać do polskich dzieci idących ze szkoły i jak w ostry sposób został skarcony przez rodziców. Nie słyszałem, co wykrzykiwał, bo byłem w sklepie. Przyprowdziła go matka, a Ojciec zabrał go do mieszkania i tam słyszałem jego głośne upomnienia.

Szkoła, do której chodziłem zlokalizowana była za szosą Katowice - Warszawa, aby do niej dojść musiałem przechodzić obok żandarmerii. Mimo to bywałem tam częstym gościem po lekcjach niby do pomocy woźnej, a za zgodą właśnie tej woźnej pani Jarkiewiczowej, korzystałem z biblioteki leżącej pod schodami i mogłem obserwować, co działo się na szosie i na posterunku żandarmerii.

Folwark w Wojkowicach Kościelnych przed wojną należał do rodziny Ostrowskich. Pierwszym administratorem po zagarnięciu go przez okupanta był Ślązak nazwiskiem Lupa, a następnie również Ślązak nazwiskiem Starok. Niemcy powiększyli folwark zabierając ziemię okolicznym mieszkańcom, którzy musieli pracować w majątku darmo 5 dni w tygodniu. Pracowało w nim wiele osób zatrudnionych na stałe, głównie skierowanych przez urząd pracy. Pracowały w nim także nieletnie dzieci ze szkoły.

Serafinowie, to rodzina starszej siostry mieszkający na Pierkowskim. Praktycznie było to nasze podstawowe oparcie. U nich właśnie schroniliśmy się przed wysiedleniem, od nich pochodziła pierwsza pomoc w każdej dziedzinie. Powodziło im się nie najlepiej, bo szwagier pracujący przez lata jako górnik na kopalni „Mars” zachorował na gruźlicę i musiał przestać pracować. Nowy dom jeszcze nie był całkowicie wykończony, w starym mieszkała matka szwagra będąca na jego utrzymaniu. Dzieci mieli troje, najstarszy w 1942 roku, Henryk, miał lat 7, Janek lat 5, a Michalina zaledwie 2. W tej sytuacji wspomagaliśmy się nawzajem na ile, która strona mogła. Wszelkie odpady z kuchni, w tym cienkie jak papier obierki z ziemniaków, ja jej zwykle zanosilem – stąd częste kontrole mojej torebki przez żandarmów. Za wiedzą proboszcza Sokołowskiego zanosilem też jabłka z jego sadu choremu szwagrowi.

Cmentarz, zasiedlony przez martwych, miejsce dla wielu budzące strach, dla mnie był schronieniem, nawet w nocy a najczęściej miejscem spotkań. Docierałem do niego z wielu stron, najczęściej poprzez plebański ogród.

Po włączeniu Zagłębia Dąbrowskiego do rejencji katowickiej (do Górnego Śląska) i utworzeniu Generalnej Guberni, a między nimi granicy, spowodowało odcięcie, głównie miast zagłębiowskich, od rejonów rolniczych, od zaopatrzenia w żywność. Mieszkańcom Zagłębia pozostały jedynie głodowe kartki żywnościowe. Przydziały kartkowe dla Polaków pokrywały nie więcej niż 15% zapotrzebowania, tak dorosłych jak i dzieci. Brakowało 90% tłuszczów, 80% białka, 50-60% węglowodanów.

Niemcy i folksdojczycy w tym samym czasie otrzymywali 8-10-krotnie więcej ilościowo, znacznie lepsze jakościowo i pełny asortyment.

Głód był wielki w całym Zagłębiu Dąbrowskim, odcięty granicą od Generalnej Guberni, od żywności. Przykładem tego niech będą następujące fakty z własnego podwórka. Dwu i pół letni syn siostry, gdy szła z nim do ubikacji, widząc jak dzieci komendanta jedzą kielbasę, powiedział: „Ja wiem, że jestem Polak, ale też bym zjadł kawałek kielbasy”. Pewnego razu od sklepikarza – Niemca, za pomoc przy wyładowaniu towarów, otrzymałem około pół litra ślimaków w puszcze po konserwie. Przyniosłem je do domu i kilka wylałem na talerz. Domownicy myśląc, że są to grzyby maślaki, zbiegli się z widelcami, ale przelknąć ich nie mogli. Okazało się, czego wcześniej nie sprawdziłem, że były one w bardzo mdłym sosie własnym, bez żadnych przypraw i wcale nie przypominały smaku grzybów. Gdy im w końcu powiedziałem, że to są ślimaki, byli mocno zawiedzeni i choć głodni odeszli od stołu. Szkoda mi było wyrzucić, więc aby je zjeść, próbowałem przyprawić je wszystkim, co tylko było mi dostępne począwszy od soli i octu. Tym sposobem przez kilka dni zjadłem je prawie wszystkie. Z dawniej tępionego polnego chwastu, jakim była biała komosa, popularnie zwana lebiodą, gotowało się zupę. Brukiew, miejscowa nazwa karpiel, jako karma bydłęca, też była dobra, byle jej było pod dostatkiem. Ze zdobytych buraków cukrowych gotowano syrop zastępujący cukier, mimo iż za kradzież tych buraków z pól folwarcznych, na przykład podczas przymusowych szarwarków, groziło wywiezienie do obozu koncentracyjnego Auschwitz. Podobnie było karane łowienie ryb i posiadanie żaren lub młynków do mielenia zboża. Ukradkiem były zbierane kłosa po żniwach i ziemniaki po wykopkach. Wiosną 1943 roku otrzymaliśmy od kogoś zmarznięte ziemniaki. Po ich wysuszeniu, potłuczeniu i zmieleniu była mąka ziemniaczana na placki i kluski. Gubalowie z Zakamienia nie byli naszymi najbliższymi sąsiadami, ale troskliwymi przyjaciółmi i choć mieszkali stosunkowo daleko jak mogli tak nam pomagali. Często zatrzymywali szwagra jeżdżącego codziennie koło nich na rowerze do pracy w Pyrzowicach i podawali nam coś z żywności. Z obawy przed rewizjami żandarmów, były to niewielkie ilości, bo większych przewozić nie było wolno. Kilka razy byłem też u nich osobiście.

Głód w miastach był tak dokuczliwy, że codziennie ciągnęli ludzie na wieś i nieśli w tobołkach niekiedy cały swój dobytek, by go wymienić na żywność. W niedziele szły całe procesje – rano w kierunku wiosek położonych za Siewierzem, a wieczorem wracali do domu, często z prawie pustymi rękami, bo na wsi też nie było wiele do sprzedania. Z jednej strony po oddaniu przymusowych dostaw, rolnikom zostawało zaledwie tyle by wyżywić własną rodzinę i własną trzodę. Z drugiej strony coraz więcej napływało z miasta na wieś wszelakiego dobytku, do tego stopnia, że w 1944 roku dał się zaobserwować wyraźny przesyt, uwypuklający się tym, że chłopcy sprzedawali resztki żywności jedynie za rzeczy dla nich bardzo potrzebne lub wartościowe, a głównie za złoto.

Do sklepów na kartki dla Polaków dostarczano najgorsze produkty, bo te lepsze przeznaczone były Niemców, tak jak pierwsze wagony tramwajów – „Nur für Deutsche”. Ale były sklepy dla Niemców, gdzie sprzedawano także dla Polaków i taki sklep był w Siewierzu przy rynku w budynku „Deutschhaus”. Do tego sklepu wysyłała mnie czasem Mama z konkretną listą, by kupić coś lepszego. Kolejka tam była zawsze duża i trzeba było czasem stać parę godzin. Porządek załatwiania był następujący: najpierw było zamawianie konkretnego asortymentu i wycinanie kartek, następnie w innej już panienci płacenie i na końcu odbiór u jeszcze innego personelu. Ponieważ zamawianie i opłata załatwiane były szybciej, to po odbiór tworzyła się druga kolejka, w której też trzeba było postać, więc pewnego dnia przyglądając się swej kartce z zamówieniem i wielką pieczęcią „Bezalt” – zapłacono, doszedłem do wniosku, że z „3-ki” bardzo łatwo można by zrobić „8-kę”, wystarczy tylko ołówkiem połączyć końce ze środkiem. Wyszedłem więc z kolejki i na parapecie okna sąsiedniego domu z trójki zrobiłem ósemkę. Tym sposobem przyniosłem do domu 80 deko kielbasy zamiast 30 deko. Następnym razem na stanowisku zamówień była inna panienska i jej „3-ki” nie dało się przerobić na „8-kę”, ale można było wygumować nóżkę u „2-ki” i wtedy powstawała „9-ka”. U niej zysk był jeszcze większy. To też przy następnych zakupach – średnio raz w tygodniu, w zależności od obsługi, zamawiałem część produktów po 20 lub 30 deko. Aby nie było wpadki poprawiałem jednak, co najwyżej dwie pozycje. Trwało to prawie cały rok, bo od połowy 1943 roku do połowy 1944. Pracując od 1 lipca 1944 roku przy okopach nie miałem już czasu na zakupy. Nikomu jednak swej tajemnicy nie zdradziłem, choć miałem nieraz wrażenie, że Mama coś podejrzewa.

Głód doskwierał do tego stopnia, że każdy sposób na zdobycie więcej pożywienia był dobry zwłaszcza, gdy mogło to być na szkodę okupanta. Zwłaszcza pierwsze tygodnie po ucieczce przed wysiedleniem były straszne. Mieszkaliśmy nielegalnie, więc i kartek żywnościowych nie mogliśmy otrzymać a jeść się chciało. Wykorzystywaliśmy zatem wszyscy każdą okazję, aby gdzieś u kogoś coś zrobić, by dostać trochę żywności. Pierwszą większą pracą, jaka się Ojcu trafiła była młócka na Podskalu – u kogo nie pamiętam, ale dokładnie jeszcze dziś widzę jak wieczorem przyniósł dwie torebki. W jednej było trochę żyta, a w drugiej pszenicy. Mama natychmiast wyciągnęła głęboko schowany młynek i każdy po kolei przecierał ziarno na śrutę, bo trudno to było nazwać mąką, ale upieczone pierwsze placki na kozie wyśmienicie smakowały. Innym razem przyniósł Ojciec nawet kawałek pospółki, czyli kawałek wieprzowiny – słoniny pospołu z mięsem i kością. Kawałek tak wielki, że mógłbym być zjeść go za jednym razem, musiał nam wystarczyć na wiele dni, a na wywarze gotowała Mama zupy, przez co najmniej tydzień. Bardzo cenną zapłatą były jajka i mleko, choć najpotrzebniejsze były ziemniaki. Tego typu dorywcze prace u okolicznych gospodarzy, poza naprawianiem butów, były dla Ojca jedynym zarobkiem. U okolicznych gospodarzy pracowała też Mama a mnie często zatrudniał w ogrodzie ksiądz proboszcz.

Namiastki herbaty i tytoniu wytwarzała Mama z różnorakich liści, jak mi się wydawało najbardziej przydatne były liście wiśni. Namiastkę kawy robiła z palonych żołądzi dębów i buków. Bardzo żałuję, ale na technologię wytwarzania tych namiastek nie zwracałem wtedy należytej uwagi. Pamiętam tylko, że przy kolejnej rewizji mojej siatki przez żandarma Wagnera, tym razem na podwórku młyna w Tuliszwowie, znalazł w niej torebkę z namiastką kawy i koniecznie chciał się dowiedzieć skąd ja mam prawdziwą kawę. Powiedziałem mu, że odsypał mi trochę jako lekarstwa, oficer przejeżdżającego na front wschodni oddziału Wehrmachtu i niosę ją choremu na gruźlicę szwagrowi.

Środków czystości prawie nie było, bo te znikome ilości otrzymywane z przydziału na kartki kawałki zaschniętego błota, nic nie były warte, wobec tego Mama sama produkowała mydło z kości. Wiem tyle, że do wyrobu mydła potrzebna była soda kaustyczna w płynie.

Z braku nici wełnianych i bawełnianych, skarpety i swetry wyrabiane były ze sznurka do snopowiązałek. Toteż, gdy się okazało, że takim niezbędnym i wartościowym towarem były na przykład postronki plecione z bardzo mocnego sznurka do snopowiązałek, dostarczanego jedynie folwarkom będącym pod zarządem niemieckim. To z tymi postronkami jeździliśmy z wikarym do wsi Dziewki, odległej od Wojkowic Kościelnych około 12 kilometrów. Przed Dziewkami był nieduży las, tam wikary się przebierał i do wsi wjeżdżaliśmy jako dwaj cywile. Za parę naszych postronków, mocniejszych od łańcuchów, otrzymywaliśmy dwie teczki żywności. Po powrocie do lasu, przypinałem wikaremu do pasa na biodrach obie teczki w taki sposób, że gdy dół sutanny po podniesieniu trzymał rękami przy kierownicy, to one pozostawały ukryte w fałdach. Zawsze jechałem przodem i gdy natrafialiśmy na patrol żandarmerii, to mnie zatrzymywali i sprawdzali zawartość teczki wiszącej na mojej ramie, a w tym czasie wikary przejeżdżał obok na damce bez widocznego bagażu. Przywieziona żywność była dzielona pomiędzy mieszkańców plebanii, producentów postronków i moje dwie rodziny.

Za wszystko grożono karą śmierci nawet za łowienie ryb, a że głód doskwierał, to ryzyko wpisane było w każdy dzień powszedni. Będąc w Będzinie z ziołami udało mi się kupić bardzo mocne, nie przemakalne i cienkie nici kuśnierskie dla Ojca, ale z myślą o wykorzystaniu ich na sznury do łowienia ryb na przynętę. Haczyk zrobiłem z agrafki, żywca złowiłem w strumyku, a za obciążenie służyły mi nakrętki. Tak przygotowaną wędkę wieczorem w zakolu rzeki przywiązałem pod wodą do korzenia drzewa by jej nie było widać. Wcześniej rano poszedłem sprawdzić – nie było nic, nawet żywca. Ale po kilku próbach, pewnego ranka napotkałem charakterystyczny opór przy wyciąganiu sznura i po chwili okazało się, że coś tam się szarpie na końcu. Zawinałem sznur na lewej dłoni a prawą ręką odwiązałem go z korzenia i zacząłem wyciągać. Początkowo powoli a gdy pokazał się pysk szarpnąłem mocniej i wyrzuciłem zdobycz na brzeg. Jakież było moje rozczarowanie, gdy się okazało, że zamiast ryby na końcu sznura wił się w porannym półmroku ponad półmetrowy ciemnoszary wąż. Mając uraz do gadów, o czym napisałem w pierwszej części książki pt. „Obrabowali mnie...”, bałem się do niego podejść, nie mówiąc już o jego uwolnieniu. Z drugiej jednak strony szkoda mi było, zwłaszcza haczyka z takim trudem wykonanego z trudno zdobytej stalowej agrafki odpowiednio dużej i mocnej. By się zabezpieczyć przed ew. ukąszeniem dowiązałem dodatkowy kawałek szpagatu i zaciągnąłem zdobycz pod pobliskie drzewo. Tam przerzuciłem szpagat z przywiązanym kawałkiem drzewna przez najniższą gałąź i podciągnąłem węża do góry. Nim zdążyłem mu się lepiej przyjrzeć musiałem go szybko opuścić, bo od młyna Waluszczykowego ktoś szedł i musiałem się schować. Gdy ten ktoś podszedł bliżej poznałem w nim Kondka, starszego syna prawowitego młynarza, a nie któregoś z bauerów. Wtedy wyszedłem mu na spotkanie i poprosiłem go o odczepienie mi węża z haczyka. Okazało się, że był to węgorz, jakiego w tych okolicach trudno spotkać. Miałem szczęście i nagrodę za włożony trud oraz za chwilowy strach. Mama nie przestraszyła się węgorza i wiedziała, co z nim zrobić, bała się tylko tego, że ryzykowałem przyłapaniem i w najlepszym przypadku wywiezieniem do obozu koncentracyjnego.

Zabrakło nam węgla, więc posłano mnie do sąsiadów bym przywiózł na sankach pożyczony worek węgla. Niestety na drodze nie było śniegu tylko gdzieś niegdzie szklisty lód. Próba na sankach się nie powiodła, wobec tego włożono mi worek na wózek a był to wózek z bardzo wysokimi kołami, skrzynią usadowioną na osi i z dwoma dyszlami. Za dyszle ciągnął kolega a ja wózek popychałem i tak podjechaliśmy prawie pod sam dom. Pod górkę jednak trzeba było bardziej zapierać się nogami. W pewnym momencie kolega się poślizgnął i wypuścił dyszle. Wózek obracając się do tyłu spowodował najpierw wypadnięcie worka na moją jedną nogę a następnie przygniótł wystającym kołkiem moją nogę drugą w okolicy kostki. Poczulem ostry ból, ale jakoś wstałem i wspólnie z kolegą na oparty o mur wózek włożyliśmy worek z węglem. Te ostatnie kilkadziesiąt metrów do domu ledwie doszedłem. Buta zdjąć w żaden sposób nie było można, bo noga szybko puchła, więc go od tyłu Ojciec rozpruł łącznie z cholewą. W tym czasie Mama zagotowała wody z solą i sporo czasu nogę moczyłem nim trochę skłesała. Później były okłady z różnych ziół, głównie z aloesu. Dziś nie wiem, która to była noga.

Komendantem posterunku żandarmerii w Wojkowicach Kościelnych w 1939 roku był A. Franz, który wsławił się wystrzeleniem wszystkich psów na podległym mu terenie. Przez cały okres okupacji stałymi żandarmami byli: Georg Wagner oraz Adolf Wieschok. Pozostali co jakiś czas zmieniali się. W 1944 roku komendantem był Robert Bork oraz Johan Frey. Byli jeszcze inni, ale ich danych nie udało mi się ustalić.

Prace pomocnicze na posterunku żandarmerii wykonywali doraźnie różni ludzie, najczęściej aresztanci, lub po prostu zgarnięci z drogi – również dzieci ze szkoły w ramach zajęć praktycznych, czyli przedmiotu podstawowego. Na stałe zaangażowana była jedynie kucharka a i te też dość często się zmieniały. Jedną z nich była znajoma nadleśniczego z Ząbkowic, który nadzorował również lasy wojkowickie i wareżyńskie, z tego tytułu często przejeżdżał motorowerem koło nas i kilka razy rozmawiał z Ojcem. Zнали się dobrze sprzed wojny.

Kiedy jego znajoma została zatrudniona jako kucharka na posterunku żandarmerii, przyszedł do nas i poprosił mnie abym ją zawołał. Poszedłem wtedy na posterunek żandarmerii. W korytarzu spotkałem żandarma Wieschoka i powiedziałem mu, po co przyszedłem. Ten wskazał mi drzwi od kuchni. Wszedłem tam i przekazałem zaproszenie kucharce. Ta mi podziękowała i kazała przekazać, że postara się przyjść, jeśli jej na to pozwolą żandarmi. Przy okazji obejrzałem sobie pomieszczenia posterunku. Kiedy przekazywałem wiadomość nadleśniczemu do naszego mieszkania wszedł żandarm Wieschok. Gdy zobaczył dubeltówkę leżącą na stole odruchowo sięgnął do kabury i zapytał: Czyja ta broń? Nadleśniczy po niemiecku wyjaśnił mu, kim jest i pokazał pozwolenie na broń. Wtedy Wieschok po polsku powiedział: „W porządku – przyszedłem sprawdzić, czy chłopak prawdę mówił”. Po kilkunastu minutach przyszła oczekiwana Pani.

Poza nauką pisania, czytania i rachowania, oprócz pracy na folwarku i zbierania ziół były jeszcze prace dorywcze jak porządkowanie podwórka, czy zaśmieconej komórki u żandarmów. Pewnego dnia żandarmi polecili nam, starszym uczniom, uporządkowanie swojej komórki stojącej na podwórku przy murze odgradzającym ogród plebański. Było tam bardzo dużo różnych rupieci, na pewno jeszcze po poprzednikach, czyli po polskiej policji. Wszystko to najpierw rozłożyliśmy na podwórku, a później tylko wskazane rzeczy wnosiliśmy z powrotem do komórki. Między innymi było tam 7 odbiorników radiowych na prąd i kilka detektorowych, odebranych właścicielom, gdyż Polakom nie było wolno ani mieć ani słuchać radia. Te odbiorniki sam własnoręcznie układałem na górnej półce w rogu szopy od strony księżego ogrodu. Pozostałe rupiecie zostały spalone. Kiedy opowiedziałem swemu znajomemu o przechowywanych radiach, wyraźnie go to zainteresowało, tym bardziej, gdy określiłem ich miejsce na półce. Doszliśmy do wniosku, że po oderwaniu, co najwyżej dwóch desek można by się było do nich dostać stosunkowo prosto. Ponieważ o tym kazał mi zapomnieć, więc nie wiem czy takie próby były czynione.

Ponieważ z małego korytarzyka naszego mieszkania było wyjście bezpośrednio na ulicę, to przed każdym wyjściem z domu, dla bezpieczeństwa, zwłaszcza przed spotkaniem żandarma, najpierw przez okno a później przez uchylone drzwi oglądało się okolicę, a następnie wychodziło. Tego letniego popołudnia w 1943 roku jakoś mniej bacznie przyjrzałem się okolicy, bo po zaledwie kilku krokach zobaczyłem przed sobą Wagnera, żandarma uznawanego za najbardziej niebezpiecznego, Ślązaka z Małej Dąbrówki. To jeden z dwóch, którzy na tym posterunku byli od 1939 roku. Drugi uznawany za przyjaznego, był rdzennym Niemcem z Bawarii. Nim ocknąłem się z pierwszego wrażenia poczułem dotknięcie jego palca na piersi, gdzie pod koszulą miałem ukrytą książkę i usłyszałem: „Co tam masz?”. Odpowiedziałem prawdę, że książkę, ale skłamałem, iż odnoszę ją na plebanię. Wyciągnął mi ją z za koszuli, obejrzał i oddał. Wiedział, że byłem ministrantem, a książka ta na moje szczęście dotyczyła katechizmu. Musiałem zmienić pierwotny zamiar i zamiast do szkoły poszedłem na plebanię, a stamtąd poprzez ogród okrężną drogą do szkoły. Książkę tę znalazłem w szkole w ciemnej piwnicy pod schodami, za wszelkiego rodzaju rupieciami, gdzie wyrzucona została cała przedwojenna biblioteka szkolna. Leżała tam kupa książek, niektóre porozrywane, inne bez okładek. Tę za zgodą woźnej, pani Jarkiewiczowej wypożyczyłem sobie do domu i właśnie ją odnosiłem. Od tej chwili już tylko w szkole,

choć także po kryjomu przed żandarmami, ale za wiedzą woźnej, przeczytałem wiele innych. Co się z tymi książkami stało nie wiem, bo od lipca 1944 roku w szkole przebywało wojsko niemieckie obsługujące aparaty nasłuchowe i reflektory przeciwlotnicze.

Nie był to jedyny przypadek rewidowania mnie przez Wagnera. Robił to za każdym razem, gdy coś niosłem, a że często nosiłem w siatce obierki z ziemniaków do siostry, więc zawsze musiałem wysypywać zawartość siatki. Raz nawet sprawdzał mi bagnetem wnętrze bańki z mlekiem. Pewnego dnia w 1943 roku wychodząc ze szkoły w Wojkowicach Kościelnych zauważyłem jak przejeżdżający na rowerze drogą mężczyzna dojechawszy do cmentarza zatrzymał się, postawił rower przy drzewie i udał się za krzaki rosnące przy cmentarnym murze. Zauważyłem też, że owemu mężczyźnie przygląda się także żandarm Wagner stojący na podwórku posterunku żandarmerii. Mężczyzna schowawszy się częściowo za krzaki, opuścił spodnie i kucnął. Wtedy Wagner pobiegł na posterunek i po chwili wrócił z karabinem. Wycelował i strzelił. Mężczyzna podskoczył i upadł, ale po chwili się podniósł, naciągnął spodnie i mocno przygarbiony pobiegł do roweru. Co dalej się działo nie wiem, ponieważ minąłem już posterunek żandarmerii, a o zatrzymaniu się nawet nie pomyślałem, na pewno mogło by to mieć dla mnie przykre skutki.

Innym razem ktoś z domowników zauważył przez okno idącego żandarma, a dwa kroki przed nim z lewej strony mężczyznę prowadzącego jego rower. Do okna podszedłem i ja. Jasnym było, że żandarm prowadził zatrzymanego mężczyznę od strony Ujejsca. Po zrównaniu się z krzyżem stojącym przed starą szkołą, aresztant popchnął rower w kierunku żandarma, a sam zawrócił i zaczął uciekać. Miał do przebiegnięcia około 20 metrów by wpaść w boczną drogę pomiędzy murami w kierunku cmentarza. Na parę metrów przed tą drogą dosięgła go kula. Trafiony w nogę upadł. Żandarm podszedł do niego kazał mu wstać i iść dalej. Widać było, że mocno kuleje. Ledwie doszedł do roweru, podniósł go i opierając się na nim kuśtykał dalej na posterunek. Żandarmem tym na pewno nie był Wieschok, ani Wagner, tylko inny. Jak zachowałby się Wieschok, trudno powiedzieć, ale Wagner takiej okazji na pewno by nie przepuścił i uciekającego aresztanta zastrzelił, jeśli nie pierwszym strzałem to następnym, a już na pewno nie odmówiłby sobie kilku solidnych kopniaków.

Było to w końcu czerwca lub na początku lipca, bo żyta były już wysokie, wyszło z lasu od strony Kuźnicy Podleśnej dwóch mężczyzn w mundurach lotnictwa alianckiego. Weszli do sklepu znajdującego się w pierwszym domu Kuźnicy Warężyńskiej. Ekspedientka Polka, Krystyna Szafruga – córka byłego kierownika szkoły, niewiele mogła im pomóc, gdyż po pierwsze nie znała języka, którym się posługiwali, a po drugie w sklepie był właściciel – Niemiec i jeszcze kilku bauerów. Po chwili wyszli ze sklepu i udali się polami w kierunku Przeczyc. Bauerzy początkowo zaskoczeni, po ochłonięciu powiadomili żandarmerię i zorganizowano obławę. Złapano ich na górcie Waręskiej ukrywających się w żytach. Jeden z nich został postrzelony przez Wagnera w nogę, w zasadzie bez powodu, bo nie stawiali oporu. Przyprowadzono ich na posterunek żandarmerii w Wojkowicach Kościelnych, skąd zabrano ich gestapo. Zajście w sklepie widział przejeżdżający drogą miejscowy niemowa, wstąpił do nas i opowiedział, na miği, o tym memu Ojcu. Ja szybko pobiegłem na wieże kościelną i stamtąd oglądałem całą akcję obławy. Widziałem także przyprowadzonych na posterunek lotników. Zepsuty zamek przy drzwiach na dzwonnicy pozwalał mi w dowolnej chwili wejść na nią i obserwować okolicę. Wykorzystałem również tę możliwość m.in. dla ustalenia miejsca wybuchu V2.

Innych trzech lotników ukryło się w lasku na Pierkowskim. Byli głodni. Widzieli jak miejscowa kobieta zbierała muchomory, ale nie wiedzieli, że ona z nich robiła trutkę na muchy. Sami też kilka zebrali i zjedli, a potem się pochorowali. Przyszli do zbierającej te grzyby kobiety po pomoc, ta się wystraszyła, że będzie odpowiadać za zatrucie i powiadomiła żandarmerię. Lotników zabrali żandarmi, a po jakimś czasie za zdradę spalili jej dom partyzanci.

Przekazywana była po cichu i na ucho, ale obiegała całą okolicę wieść, że na Podwarpiu żandarmi na czele z Wagnerem wykryli przechowywaną w ziemiance rodzinę żydowską.

Wiadomo było ogólnie, że jeżeli ktoś był aresztowany przez miejscową żandarmerię, to jego dalsze losy w większości przypadków zależały od tego, który z żandarmów odwoził go do Będzina na gestapo. Wagner prawie zawsze wracał sam chyba, że jechał z konfidentem, natomiast Wieschok bardzo często przywoził z sobą wybronionego.

Żandarmeria, jak wszystkie służby specjalne miała wśród mieszkańców okolicy swoich konfidentów, czyli donosicieli. Czy byli ochotnicy, trudno mi powiedzieć, ale było wielu takich, którym zagrożono, że jeśli nie będą donosić, to oni sami lub ich najbliżsi za jakąś tam przewinę zostaną wysłani na przykład do Auschwitz. Przykładem niech będzie pewien mieszkaniec, dobry znajomy mego ojca, który spotkawszy go na odludziu, niby przypadkiem zwierzył mu się z takiej groźby i prosił, aby mój ojciec uprzedził tych wszystkich, do których ma zaufanie, aby w jego obecności powstrzymali się od rozmów, których treść musiałby powtórzyć Wagnerowi, a że tak musi zrobić jest oczywiste, bo wśród rozmówców może być jeszcze inny konfident i wtedy jego synowi groziłoby wywiezienie do obozu. To przypadkowe spotkanie faktycznie wyglądało tak. Pewnego wieczoru wyszedłem ojcu na spotkanie, gdyż spodziewałem się, zresztą słusznie, że poniesie sporo żywności jako zapłatę za kilkudniową pracę

u gospodarza w sąsiedniej wsi. Idąc brzegiem drogi już z daleka zauważyłem ojca niosącego sporą torbę, a to groziło konfiskatą w razie spotkania się z żandarmem, zwłaszcza Wagnerem, ale równocześnie zauważyłem wyraźnie czekającą na niego postać, bo stojącą nieruchomo i patrzącą w jego kierunku, na pewno nie był to żandarm. Nie mogąc dostrzec, kim jest dana osoba postanowiłem zająć ją z boku i to mi się udało do tego stopnia, że znalazłem się niedostrzeżony w odległości mniejszej niż 2 metry. Człowieka rozpoznałem i całą rozmowę dokładnie wysłuchałem. Na ojca czekałem parędziesiąt metrów dalej.

Czasem zdarzały się doniesienia przypadkowe, nawet ze strachu. Najgorszymi były te wynikające z gadulstwa. Ci, co pojawiali się na posterunku żandarmerii bez wyraźnej potrzeby byli zawsze podejrzany i w większości ich potrzeba była sprawdzana. Podejrzane także były wizyty żandarmów i ich niby przypadkowe spotkania. Tym najbardziej interesowali się chłopcy z lasu.

Po zamieszkaniu w Wojkowicach Kościelnych zacząłem znowu chodzić do szkoły. Miałem teraz blisko, bo około 200 metrów, ale musiałem przechodzić pod oknami posterunku żandarmerii. Po przeciwnej stronie ulicy przy ogrodzeniu kościelnym nie było chodnika.

Wysiedlenia odcięły mnie od dawnych kolegów z Kuźnicy, tych wywiezionych do łagrów i tych, co tam zostali. Oni do szkoły nie chodzili, bo bauerzy się na to nie godzili. W Wojkowicach Kościelnych, z uwagi na lokalne warunki, obcowałem raczej z dorosłymi. Koledzy ze szkoły mieszkali daleko, więc poza szkołą spotykałem się z nimi doraźnie. Zresztą sam punkt i warunki zamieszkania z dala od normalnych zabudowań gospodarskich temu nie sprzyjały. Nie miałem też za dużo czasu, trzeba było gdzieś popracować, lub coś załatwić, aby zdobyć trochę jedzenia, bo racje kartkowe naprawdę były głodowe. Trzeba było pomóc rodzicom, którzy podejmowali różne prace dorywcze u okolicznych gospodarzy, Ojciec naprawiał buty, Matka też próbowała robić, co mogła. Czasem i mnie się też udało przynieść coś do zjedzenia.

Za rok szkolny 1942/43, a więc za ukończenie V klasy zaświadczeń chyba nie wydawano, bo go nie mam. Uczył mnie i był wychowawcą Stefan Żak. Nauczano nas tylko dwóch przedmiotów, czytania i pisanie oraz rachunków. Praktycznie był jeszcze trzeci podstawowy przedmiot – praca na folwarcznych polach lub zbieranie ziół. Do prac w polu chodziliśmy na wezwanie niemieckiego zarządcy folwarku. Były to prace związane z pielieniem warzyw, podwiązywaniem pomidorów do palików, zbieraniem owoców, ale tylko tych, które nie nadawały się do jedzenia. Pewnego razu właśnie przy podwiązywaniu pomidorów kolega podtrzymujący łodygę puścił ją i złamała się. Zobaczywszy to dozorca omal chłopca nie zabił okładając go laską. Krzyczał przy tym, że jeśli się to powtórzy to jego z całą rodziną za taki sabotaż wywiozą do Auschwitz, do obozu pracy w Oświęcimiu. Zbieranie ziół było włączone do planu jako stałe zajęcia. W ciągu każdego tygodnia szkoła musiała zebrać wyznaczoną na każdego ucznia ilość konkretnych części określonej rośliny, ususzyć i odstawić do punktu zbiorczego w Będzinie. Dziś wiem, że dla nauczycieli był to pretekst do tajnego nauczania nas przyrody, też zabronionego przedmiotu, tym bardziej, iż przy okazji mówiono nam gdzie one rosną, czyli nauczano geografii.

Rośliny zbieraliśmy do worków, a po przyniesieniu do szkoły, rozkładaliśmy je w salach i na korytarzach. Co jakiś czas należało je przewracać, by nie zapleśniały, lub nie straciły koloru. Żle ususzonych ziół nie przyjmowano. Ponieważ od listopada 1942 roku mieszkałem najbliżej szkoły, to bardzo często proszono mnie bym przed wieczorem pomagał woźnej doglądać suszenia. Było to dla mnie o tyle wygodne, że wiedzieli o tym żandarmi, a więc mogłem się swobodniej poruszać i dowolnie przebywać na terenie szkoły, co wykorzystywałem, za przyzwoleniem woźnej, do czytania książek leżących pod piwnicznymi schodami. Wyznaczony zostałem także do odwożenia ziół do składnicy w Będzinie. Dla ułatwienia przejazdu wystawiono mi pismo upoważniające do przewozu autobusami worków z ziołami dla Wehrmachtu. „Die Jungen (Paluch Stefan + 1) befördern zu dem Wagen das Kraut für die Wehrmacht” (chłopcy Paluch Stefan + 1 wiozą ziola dla Wehrmachtu). Pismo to było potwierdzone bardzo tłustym i wyróżniającym się u góry napisem komendanta posterunku żandarmerii „Gendarmeriepostenfürer Wojkowitz Koscielne” wraz z jego także tłustym podpisem i dopiskiem na dole: Der freie Übergang (przejazd bezpłatny). Dawało nam ono przede wszystkim możliwość pierwszeństwa przy wsiadaniu do autobusu, nawet do tego stopnia, że gdy przed nami chciała wsiąść folksdojczka, krzycząc za naszymi plecami, że jest Niemką, kierowca, zresztą Polak odpowiedział krótko: „A tu jest Wehrmacht!”

W sezonie trzeba było zawozić wysuszone ziola przynajmniej raz w tygodniu, dobieierałem sobie wtedy kolegę, najczęściej Mariana Białasa z Marcinkowa i zawoziliśmy dwa lub trzy duże, specjalnie oznakowane, worki suchych ziół do Będzina. W drodze powrotnej wieźliśmy zapasowe worki i drobne podarunki najczęściej, jeśli dobrze pamiętam były to pudełeczka z pudrem, bo kierowniczką szkoły, pani Łucja Piekarska, zawsze jeszcze przed otwarciem paczki mówiła: „Znowu będzie ten obrzydliwy puder”. Nic z żywności, nie mówiąc już o słodyczach, nigdy nie było. Bardzo często w powrotnej drodze wykorzystywałem worki do przewozu własnych, zakupionych w Będzinie produktów, które w większych ilościach przy rewizjach były konfiskowane. Były to głównie ścinki skóry do reperacji i szycia

nowych butów, wyszukiwane przeze mnie w składnicy odpadów. Czasem udawało mi się znaleźć większe kawałki skóry cholewkowej, czy podeszwowej, czasem dobrać jakąś parę podobnych butów – było więc co wymienić na żywność. Zakupić w składnicy można było jedną parę dobranych butów, lub pół kilograma ścinków. Dlatego bardzo przydatnym narzędziem był nóż, by poodpruwać zbędne, lub zniszczone części. Więc kupiłem sobie scyzoryk z blokowanym ostrzem, ale jak się okazało za duży, bo nazajutrz przy kontroli zabrał mi go Wagner jako niebezpieczne narzędzie. Następny scyzoryk był już bardzo mały, z jednym ostrzem, ale za to ostrym jak brzytwa. Nosilem go w portmonetce razem z bilonem. Większe ilości ścinków należało wynosić po części, lub w kilka osób. Często więc wykorzystywałem do tego towarzyszącego mi kolegę. Ojciec mój, z racji terminowania za młodu u szewca, teraz z konieczności bezpośredniej wymiany pracy na żywność, zajął się naprawą butów, a jak miał z czego, to robił nawet całkowicie nowe. Niekiedy mu w tym trochę pomagałem, zwłaszcza przy szyciu dratwą w miejscach trudno dostępnych – miałem bowiem mniejsze ręce. Z czystym sercem mogę powiedzieć, że ja również terminowałem u szewca.

W składnicy odpadów dowiedziałem się, że w Szopienicach jest również podobna składnica, ale tam na Śląsku dają lepsze rzeczy i można dobrać do dwóch par obuwia. Nie zastanawiając się wiele, swoje worki od ziół zostawiłem u portiera i wsiałem do tramwajowego wagonu „Nur für Polen”. Sosnowiec mineliśmy spokojnie, ale przed Brynicą, na której była granica między Śląskiem a Zagłębiem, zaczęły się nerwowe przepychanki, wyglądanie przez okna i dopytywania, czy widać kontrolę. Faktycznie tuż przed mostem tramwaj się zatrzymał, pod drzwiami podeszli uzbrojeni po zęby żandarmi i kazali nam wszystkim wysiąść. Do przednich drzwi kazali podejść tym, co jadą do pracy i po sprawdzeniu dokumentów wpuścili ich do środka. Następnie po kolei sprawdzali dokumenty i bagaże pozostałym osobom nie szczędząc szturchańców i wyzwick od „Polnische schweine reine” itp. Przede mną dwóm mężczyznom kazali poczekać na boku, ja byłem trzeci i za mną jeszcze dwaj. Tylko ja nie miałem żadnego bagażu i może dlatego mnie zatrzymali pozostawiając sobie na koniec. Tramwaj ruszył, a nas piątka została. Dwaj mieli teczki, trzeci paczkę solidnie zapakowaną a czwarty zawiniątko w gazecie. Drobiazgowo sprawdzanie zaczęło się od wysypania na ziemię zawartości teczek, rozdarcia pakunku i wysypania zawartości gazety. W jednej z teczek coś tam znaleźli, bo jej właściciel tak mocno został uderzony w twarz, że upadł na ziemię, kopniakami pomogli mu wstać i gdzieś go zabrali. Drugiemu z teczką kazali pozierać rzeczy i odejść na bok. Rozerwana paczka po kopnięciu poleciała za zabieranym i bitym właścicielem. Temu z gazetą kazano również odejść na bok i dopiero wtedy usłyszałem nad sobą: „Ausweis” z równoczesnym uderzeniem w podbródek. Pokazałem im swój papierek z napisem „Gendarmeriepostenführer Wojkowicz kościelne”. Oglądali go i coś dyskutowali. W końcu jeden z nich zapytał mnie po polsku: „Gdzie ty masz te zioła?”. Odpowiedziałem mu, że przywiezione zostawiłem w Będzinie, a teraz jadę zobaczyć, gdzie tu w Szopienicach jest podobna składnica, bo następnym razem będę musiał tam zawieźć pełen worek i wtedy będzie mi trudno szukać. Najwidoczniej mi uwierzyli, bo dokładnie mi wytłumaczyli, gdzie mam wysiąść i jak dojść. Do następnego tramwaju wpuszczono mnie pierwszego. Na właściwym przystanku wysiadłem, pod składnicę ziół poszedłem, ale nie oglądając się już za składnicą odpadów wsiałem do pierwszego tramwaju powrotnego. Tym razem tramwaju nie zatrzymano i spokojnie dojechałem nim do Będzina.

Gdy odbierałem worki, zapytał mnie portier: „Gdzie się tak paskudnie zadrapałeś” i wtedy dopiero poczułem, że boli mnie nie tylko zadrapana lewa szczeka, ale i mięśnie szyjne pod uchem. W domu i w szkole wyjaśniłem, że stało się to przy wysiadaniu z autobusu z workiem. Skutek był taki, że już więcej samemu nie pozwolono mi jechać z ziołami. Do Apteki Wehrmachtu w Zawierciu wozilem zioła tylko dwukrotnie. Były to zioła zbierane i suszone według specjalnej receptury i w niewielkich ilościach, bo mieściły się w niebieskawej płóciennej torebce z napisem „Medicin... für Wehrmacht” o wymiarach normalnej teczki, po złożeniu mieściła się w kieszeni.

Właśnie za drugim razem, postanowiłem wracać pociągiem do Żąbkowic, bo tam miałem coś do załatwienia. Na peronie czekało tak dużo ludzi, że swobodnie przejść nie było można. Zatrzymałem się mniej więcej w połowie peronu przy jakimś słupku. Nagle na początku peronu podniósł się jakiś szum i słychać było donośne okrzyki: „Halt!, Halt!”. Zamieszanie to dość szybko zaczęło przesuwac się w moim kierunku i nagle przebiegający zygzakami między ludźmi, młody człowiek ocierając się o mnie, wcisnął mi niewielką paczkę do ręki. Pobiegł dalej, a żandarmi za nim. Czy go ujęli? Nie wiem, bo tak byłem przejęty i przestraszony otrzymaną paczką, że przestałem na chwilę interesować się otoczeniem. Zastanawiałem się nawet nad tym, czy jej nie upuścić i udawać, że to nie moja. Z drugiej strony byłem ciekawy, co w niej jest i to chyba zwyciężyło. Gdy się trochę uspokoiło i ludzie przestali falować, odwróciłem się w kierunku słupa i delikatnie podniosłem rękę z paczką, aby ją zobaczyć. Była to paczuszka w kształcie cegły owinięta w szary papier, tylko o połowę mniejsza i nie za bardzo ciężka. W środku wyczuwałem coś twardego, ale nie sztywnego. Na wszelki wypadek wyjąłem z kieszeni spodni torebkę otrzymaną na przyszłe zioła i do niej włożyłem paczkę. Wpadła na dno, więc mogłem ją swobodnie prawie dwukrotnie owinąć. Owijając, tak podwinąłem brzegi torebki, aby widoczny był napis: „Medicin...” Nadjechał pociąg i wszyscy się do niego rzucili. Mnie ledwie na samym końcu udało

się wcisnąć. Stałem ściśnięty z zewsząd tak, że o podniesieniu ręki nie było mowy. Ale myśleć mogłem swobodniej niż na peronie. Przeróżne myśli biegały mi pogłowiem – raz mi było gorąco, raz zimno, a w ogóle było słonecznie i ciepło. Na stacji w Łazach musiałem wyjść, by zrobić miejsce wysiadającym. Wysiadło sporo ludzi i szybko zaczęli znikać z peronu. Nie namyślając się poszedłem za nimi, a właściwie za grupką młodzieży i znalazłem się na skraju pola. W dali widać było komin cementowni Wysoka. Skierowałem się w tamtym kierunku i po niedługim czasie byłem już w znanej mi dobrze Buczynie. Usiadłem pod bukiem i bez pośpiechu wyjąłem paczkę, rozwiązałem szpagat, rozwinąłem papier i zobaczyłem karton z napisem „SACHARYN”.

Wiedziałem, że za posiadanie większej ilości sacharyny hitlerowcy wywozili do obozu, a nawet podobno kogoś rozstrzelali. Teraz dopiero sobie uświadomiłem, dlaczego uciekał ten młody człowiek i co mnie mogło i może grozić. Szybko się jednak uspokoiłem, bo droga przez Karsów i Pastwiska do cementarza w Wojkowicach Kościelnych była bezpieczną, z daleka mogłem zauważyć jadącego zwykle na rowerze żandarma Wagnera i ukryć paczkę. Najniebezpiecznym było przejście przez ulicę do domu, bo tam często kręcili się żandarmi a zwłaszcza Wagner odwiedzający komendanta mieszkającego w budynku gminnym. Do ulicy doszedłem przez teren plebański a po upewnieniu się, że nikogo nie ma, przeskoczyłem mur i kilkoma większymi krokami pokonałem ulicę. Byłem w domu. W domu jak zwykle tragizmu swej przygody nie przekazałem, by rodziców nie martwić, ale musiałem wyjaśnić skąd mam taką cenną paczkę. Powiedziałem krótko, że odwiedziłem stroiciela organów i on mi ją dał. Z zawartości paczki bardzo się wszyscy ucieszyli, gdyż wszystkiego brakowało, a za torebkę sacharyny z kilkunastoma pastylkami można było dostać nawet koszyk ziemniaków, czy tytkę mąki lub kaszy. Do Ząbkowic poszedłem w któryś z następnych dni.

Na kupę książek znajdujących się w piwnicy szkolnej pod schodami natrafiłem przypadkowo, albowiem znajdowała się ona w samym kącie poza różnymi rupieciami i przykryta była jakąś bardzo zakurzoną płachtą. Posłała mnie tam woźna Jarkiewiczowa, aby jej przynieść kawałek suchego drewna na podpałkę. Były tam dziesiątki, jeśli nie setki książek wcisnięte do końca klina utworzonego między betonem podłogi i schodami. Na początku były one w nieładzie, ale głębiej poukładane, widocznie celowo schowane.

Luftschutzraum, to po polsku schron przeciwlotniczy, takie znajdować się musiały wszędzie. Na taki schron dla szkolnych dzieci zaadoptowano część piwnic bez okienek, lub je pozatykano. Aby w razie potrzeby schodzenie do schronu odbywało się sprawnie i aby umiano się w takiej sytuacji odpowiednio zachować, bardzo często przeprowadzane były ćwiczenia, początkowo z udziałem żandarma a później pod komendą nauczyciela. W roku szkolnym 1943/44, jako uczniowi najstarszej klasy mnie przypadła rola pilnowania porządku podczas ćwiczeń, bo faktycznej potrzeby nie było, gdyż naloty odbywały się raczej nocą. Ta funkcja nazywała się „Jungeluftschutzraumführer”. Z tej racji razem z nauczycielami przeszedłem parominutowy kurs udzielania pierwszej pomocy.

Pomagając woźnej w szkole, mogłem obserwować urządzenia przeciwlotnicze zainstalowane na szkolnym podwórku. Były to dwa urządzenia nasłuchowe i co najmniej 3 reflektory. Pewnego razu na kilka minut zastąpiłem nawet żołnierza noszącego brzęczyk, przy codziennych ćwiczeniach z dokładności namiarów. Wtedy żołnierze obsługujący te urządzenia mieszkali w części budynku szkolnego. Stanowiska dział przeciwlotniczych mieściły się w innych miejscach.

Koniec edukacji podstawowej nastąpił nagle, bo już na drugi dzień po ukończeniu 14-tego roku życia, w tym dniu bowiem musiałem stawić się w Dąbrowie Górniczej w Arbeitsamcie – Urzędzie Pracy. Zaskoczeniem jednak nie był, bo wcześniej urodzeni, wcześniej odchodzili, nawet w styczniu. Z dniem 30 czerwca 1944 roku, otrzymałem zaświadczenie, tylko w języku niemieckim, o ukończeniu VI klasy i równocześnie szkoły powszechnej, w którym oceniono moje: sprawowanie jako bardzo dobre, pilność dostateczną, obowiązkowość bardzo usłużną i sprawność fizyczną jako bardzo dobrą. Z rubryk na świadectwie wyraźnie widać, że okupantowi chodziło jedynie o potulną siłę roboczą. Kierownikiem szkoły była nadal Łucja Piekarska, a opiekunem klasy Stefan Żak.

Bezpośrednie kontakty z plebanią zaowocowały też kilkoma epizodami m.in. pomocą przy strojeniu organów, zastępowaniu kościelnego, uczestniczenie w kołodzie, towarzyszenie wikaremu w szmuglowaniu żywności czy jego przeprowadzce.

Latem 1943 roku przyjechał z Zawiercia stroiciel organów. Był to starszy pan poruszający się powoli, z trudnością spinający się na chór po stromych drewnianych schodach. Poproszono mnie obiecując zapłatę, abyśmy wraz Henryką z córką organisty, starszą ode mnie o kilka lat, służyli mu pomocą. Pomoc ta polegała na tym, że we dwójkę rozebraliśmy całe organy. Wyjmowanie małych cynowych piszczałek szło nam szybko. Układaliśmy je ściśle według wskazówek pana mistrza na antresoli nad lewą boczną nawą. Z ciężkimi drewnianymi piszczalkami basowymi było już trudniej. Były to rury o przekroju kwadratowym, o boku od kilkunastu do ponad dwudziestu centymetrów i długości od metra do ponad dwóch metrów.

Najpierw odkurzyliśmy główne kanały powietrzne i całe wnętrze między nimi usuwając z przepasanych zakamarków warstwy kurzu, nagromadzonego na pajęczynach przez dziesięciolecia. Aby dostać

się do miechów i przewodów powietrznych klawiatury, zwłaszcza nożnej musiałem się wczougać na same dno pod kanały powietrzne. Mistrz oprócz słuchu miał także dobry wzrok i dobrą znajomość wszystkich załomów. Skóra, z której były wykonane harmonie miechów, w wielu miejscach była poprzecierana i popękana, więc mnie jako synowi i praktykantowi przymusowego szewca, przypadło ją zreperować.

Następnie, od najmniejszej do największej, dokładnie wyczyściliśmy każdą piszczałkę. Klawiaturę czyścił i naprawiał sam mistrz. Jako 13 letni chłopak, niby to sprytniejszy, bo dziewczynie nie wypada, musiałem włączyć w najbardziej niedostępne miejsca i wykonywać większość prac. Składanie odbywało się w odwrotnej kolejności, od największej do najmniejszej piszczałki i strojenie. Strojenie piszczałek drewnianych polegało na odpowiednim umieszczeniu wewnątrz drewnianej przegrody. Piszczałki cynowe stroiło się przez wyginanie brzegów, doklejanie, lub przytykanie.

Po trzytygodniowej całodniowej pracy, z przeznaczoną na zapłatę pomocnikom sumy dostały mi się fenigi. Widząc to mistrz, a nie chcąc bezpośrednio reagować, poprosił mnie abym mu pomógł z bagażami i pojechał z nim do Zawiercia. Jechaliśmy autobusem kursującym między Będzinem i Zawierciem. Przez całą drogę opowiadał mi o mijanych miejscowościach. Była to moja pierwsza lekcja historii o okolicy poza Siewierzem. W Zawierciu niby za pomoc w podróży sownie mnie wynagrodził i pokazał ciekawsze miejsca w mieście.

Po drodze, dobrze już nie pamiętam, ale mogło to być w Porębie, mieliśmy nieprzyjemne wydarzenie. Z pośród stojących przed sklepem furmanek bez furmanów, jeden z koni nagle ruszył i skierował się na jezdnię bezpośrednio pod nasz autobus. Kierowca zdążył wyhamować zaledwie około 5 metrów przed dyszlem. Mogło dojść do wypadku. Ledwie ucichł pisk opon, ze sklepu wybiegł furman a z naszego samochodu wyskoczył jakiś cywil z pistoletem w ręku, obaj spotkali się obok konia. Co wykrzykiwał ten hitlerowiec po cywilnemu nie słyszałem, ale widać było, że groził gospodarzowi przystawiając pistolet naprzemian do głowy chłopca i do łba konia. Byliśmy podwójnie przerażeni, po pierwsze grożącym nam wypadkiem a po drugie groźbą egzekucji na chłopie i koniu, tym realniejszą, że takie przypadki były nam znane. Trudno powiedzieć, co by się stało, gdyby ze sklepu nie wyszło dwóch żandarmów. Oni przejęli chłopca, hitlerowiec schował pistolet, wszedł do autobusu i odjechaliśmy. Dodatkowo charakterystycznym było to, że przedtem wydawało się, iż wszyscy w autobusie rozmawiają głośno ze wszystkimi, po powrocie hitlerowca rozmowy już się nie kleiły, słychać było raczej szepty. Mój Mistrz skwitował to krótko: „W Zagłębiu mamy bardzo dużo takich, co to jeszcze znają język polski i nigdy nie wiadomo, na kogo się trafi”.

Mieszkając parędziesiąt metrów od kościoła i plebanii, będąc także czynnym ministrantem, bardzo często pod nieobecność kościelnego, który mieszkał znacznie dalej, wzywano mnie do posług kościelnych w zastępstwie kościelnego. Aby być dobrym ministrantem, to oprócz znajomości samej ministrantury w języku łacińskim i kolejności obrzędu nabożeństwa, trzeba było poprawnie grać dzwoneczkami a było ich kilka różnych na różne okazje. Podobnie miała się sprawa z funkcją kościelnego. Oprócz znajomości obrzędów – opisanych zresztą szczegółowo, trzeba było dodatkowo umieć grać na sygnaturce – na najmniejszym dzwonie znajdującym się w małej wieżyczce, do której sznur zwisał pośrodku kościoła. Sztuka polegała na tym, aby w ciągu czterech taktów sygnaturka odzywała się tylko 3 razy i czwartą przerwą. Można to było osiągnąć przez minimalne skrócenie czwartego taktu. Brzmiało to jak wołanie: wcho-dzi-my, wcho-dzi-my, wcho-dzi-my, wcho-dzi-my... Granicami było: przy braku skrócenia taktu dzwon uderzał 4 razy i dzwonienie było ciągle – monotonne, przy zbyt wczesnym wymuszonym powrocie dzwonu po trzecim takcie następne uderzenie wpadało w ciąg trzytaktowy i też dzwonienie było ciągle. Pomiędzy wychodziło tzw. jąkanie, bo przerwa między słowami była za krótka. Tajemnica tkwiła w napiętym sznurze i zgraniu ruchów rąk z rytmem wybijanym przez dzwon. Nawiasem mówiąc ta umiejętność też była sztuką.

Jesienią 1943 roku poproszono mnie bym przygotował ceremonię ślubną. Spieszono się, by zdążyć do domu przed godziną policyjną. Dlaczego ślub nie był wcześniej zapowiedziany nie wiem, zresztą w czasie okupacji o wiele spraw nie należało pytać. Ślub miał mieć uroczystą oprawę. Przy odsłoniętym głównym obrazie i pełnym oświetleniu, co też nakazywało pośpiech by zdążyć przed zmrokiem – obowiązywało zaciemnienie, a okna kościoła nie były do tego przystosowane. Potrzebne akcesoria z zakrystii do prezbiterium przyniosłem na sporej tacy, złożyłem je na ołtarzu, a z tacą poszedłem za ołtarz. Na czas odsłaniania obrazu tacę położyłem na niewielkim występie za ołtarzem. Po uroczystości, zgodnie z miejscowym obyczajem, para młoda, drużny z drużbami i goście udają się na tzw. obchód ołtarza, a po powrocie na tacę wyłożoną na stopniach przed ołtarzem składają pieniądze na ofiarę. W tym czasie, gdy korowód obchodził ołtarz, rozebrałem księdza i wróciłem do prezbiterium, weselnicy wyszli z kościoła, organista przestał grać i przyszedł do prezbiterium. Myślałem, że coś zrobiłem nie tak, ale szybko się okazało, iż chodziło mu nie o mnie tylko o zawartość tacy, którą podzielił między nas. Nawiasem mówiąc w sumie nie było tego wiele i dostały mi się fenigi. Jak się później dowiedziałem zawartość tacy była zawsze do równego podziału między organistą i kościelnym. Spawa tak małej zawartości tacy wyjaśniła się, gdy poszedłem zasłonić obraz. Na zapomnianej przeze mnie

tacy za ołtarzem też było parę fenigów i chciałem się nimi podzielić z organistą, ale go już nie było. Gdy zapytałem proboszcza, co mam zrobić z tymi pieniędzmi, powiedział: „Z poprzedniej tacy dostałeś mniej, to teraz będziecie mieli po równo”.

Innym razem zawołano mnie, by przygotować ceremoniał chrztu, albowiem Ojciec dziecka przyjechał na kilkudniową przepustkę z głębi Niemiec i musi wracać następnego dnia. Chrzestnym miał być kuzyn matki z innej wsi. Po godzinnym oczekiwaniu, nie mając nikogo pod ręką, zwrócono się do mnie abym go zastąpił. Nie bardzo mi to odpowiadało, więc zacząłem się wykrecać małoletniością (14 lat) i zaproponowałem znaleźć kogoś z sąsiedztwa, ale tu kontra mnie wystąpił proboszcz stwierdzając, że „W szczególnym przypadku małoletniość nie przeszkadza”. Nim zdążyłem coś odpowiedzieć, planowany ojciec chrzestny wszedł do kościoła i chrzest odbył się normalnie.

A jeszcze innym razem, było to jesienią 1943 roku (dnia nie pamiętam) przyszła do nas pokojówka księdza Stefania Huras i przekazała mi prośbę proboszcza księdza Józefa Sokołowskiego, abym natychmiast udał się na plebanię. Poszedłem razem z nią nawet nie pytając, po co. Na plebanii w salonie zastałem proboszcza w towarzystwie oficera Wehrmachtu (był wysoki, szczupły, lat około 50). Ksiądz proboszcz bez wstępnych wyjaśnień wręczył mi płócienny worek (połowę mniejszy od normalnego) i polecił, abym z przydrożnej kapliczki, stojącej za cmentarzem przy skrzyżowaniu z drogą do Podskala, przyniósł figurę drewnianego światka stojącą po prawej stronie. Widząc, jaka jest sytuacja bez słowa udałem się na dobrze znane mi miejsce. Pierwszą przekorną czynnością, jaką wykonałem było przestawienie światek i dopiero wtedy przystąpiłem do wykonania polecenia. Zgodnie z poleceniem zabrałem figurę stojącą po prawej stronie i włożyłem ją do worka. Worek z figurą odebrał ode mnie ksiądz proboszcz i w mojej obecności wręczył go Niemcowi. Niemiec odłożył worek na wolne krzesło bez sprawdzania, czego się obawiałem. Obaj mi podziękowali, a ksiądz proboszcz na obchodne dodał: „Lepiej będzie jak zostawisz dla siebie to, co tu widziałeś”. Mimo częstych spotkań z księdzem proboszczem nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy.

W styczniu 1944 roku w trójkę: ksiądz wikary, organista i ja jako czynny ministrant pojechaliśmy na kolebę do Goląszy. Był to jedyny przypadek. Po mszy przyjechał po nas gospodarz saniami zaprzęzonymi w parę koni. Ponieważ był spory mróz, to dno sani było wysłane słomą, na siedzeniach leżały grube poduszki, a koce posłużyły nam do przykrycia głównie nóg. Po przyjeździe na miejsce, zaraz w pierwszej chwili, po ceremonii kolędniczej, poczęstowano nas śniadaniem, było wysmienite, chleb z masłem, jajecznicą i kawa zbożowa. Nie da się zapomnieć – dawno takich smakołyków nie miałem w ustach. Chodziliśmy kolejno od domu do domu, ja pierwszy oznajmiając nadejście dzwonkiem, za mną ksiądz, a organista zamykał pochód. Był to też jakiś porządek według wzrostu, ja byłem najniższy, a organista niewiele brakowało do dwóch metrów. W każdym domu dostawaliśmy tzw. kolebę – najwięcej ksiądz, najmniej ministrant. Ksiądz dostawał zawsze osobno, a my z organistą różnie. Tuż po południu zjedliśmy solidny obiad, a wieczorem kolację. W międzyczasie też nas częstowano, głównie herbatą i ciastem. By nie wracać po godzinie policyjnej, przygotowano dla nas nocleg. Ja spałem z organistą w jednym łóżku, całe szczęście, że dano mi odrębne okrycie. Ksiądz nocował w innym domu. Jak już wspomniałem była to moja jedyna koleba. Uzbierałem parę marek. Jedyny raz, od wysiedlenia do powrotu po wojnie, przejeżdżałem obok swego rodzinnego domu, mimo wyraźnego zakazu władz pojawiania się w tej okolicy. Pierwszy raz od wysiedlenia najadłem się do syta.

W rok później wiosną 1944 roku wikary z parafii wojkowskiej otrzymał przeniesienie do parafii krzepickiej. Mając cztery walizki bagażu poprosił mnie o pomoc. Z Wojkowic Kościelnych do Siewierza pojechaliśmy autobusem, a dalej pociągiem z przesiadką w Tarnowskich Górach. Na miejscu byliśmy późnym popołudniem. Przed dworcem czekała na nas bryczka, która dowiozła nas na plebanię w Krzepicach. Zaraz po rozgoszczeniu się, usiedliśmy do kolacji. Byliśmy bardzo głodni, przynajmniej ja na śniadanie niewiele zjadłem, a wyjechaliśmy przed południem. Przyzwyczajony do pustego żołądka nie zdawałem sobie z tego sprawy dopóki nie zobaczyłem suto nakrytego stołu. Rozbiegane po tym stole moje zachłanne oczy musiał zauważyć proboszcz, gdyż powiedział do mnie „Jedz spokojnie i do syta, nam tu dzięki Bogu jedzenia nie brakuje”, a kiedy zbyt solidnie wcierałem masło w kromkę chleba żeby więcej weszło, dodał „Nie wstydź się smaruj jak grubo chcesz, masło jest świeże na pewno ci nie zaszkodzi”. Masło naprawdę było nie tylko świeże, ale tak dobre jak u mamy, które robiła przed wysiedleniem. Zresztą wszystko – chleb własnego wypieku, szynka i kielbasa wiejska, nawet jajka gotowane na twardo były tu dla mnie odnowieniem smaku sprzed kilku lat. Rano też było suto śniadanie i spora kanapka na drogę. Na przesiadkę do Siewierza czekałem w Tarnowskich Górach ponad trzy godziny, ale z peronu nie wychodziłem. Bałem się spotkania na dworcu żandarmów. Nie byłem pewien czy uwierzyliby mi, dlaczego tu się znalazłem. Tuż przed odjazdem pociągu do Siewierza byłem za to świadkiem jak funkcjonariusze niemieckiej policji kolejowej legitymowali kolejarza, który jak się później okazało wracał z podróży służbowej przez Tarnowskie Góry, Siewierz do Szczakowej, ale nie znając języka niemieckiego nie rozumiał, o co go pytają. Niewiele brakowało, a byłby nie pojechał, bo chcieli go już zabrać na komisariat. Wtedy wbrew swej zasadzie, włączyłem się do rozmowy i wyjaśniłem mu, o co go pytają. Pokazał im pismo delegujące go w podróż służbową. Chyba dlatego, że

parę zdań powiedziałem po niemiecku, mnie nie sprawdzali. Był mi bardzo wdzięczny i dalej do Siewierza pojechaliśmy razem. Trochę zgłodniałem, ale otrzymaną kanapkę postanowiłem dowieźć do domu w stanie nienaruszonym, by pozostali domownicy też mogli smak odnowić. By dać mi trochę żywności do domu, ani księża ani gospodyni jakoś się nie domyślili. Na autobus w Siewierzu prawie nie czekałem i koło szesnastej byłem w domu.

Latem 1943 roku w samo południe, siedząc z Mamą przy stole piliśmy własnej roboty ziołowo – liściową herbatę, bo prawdziwej dla Polaków nie było. Nagle zatrzęsł się dom, z sufitu posypały się trociny i usłyszeliśmy potężny huk. Wyskoczyłem z domu i pobiegłem na wieżę kościelną. Z niej ponad Przeczycami zobaczyłem szeroki i wysoki słup dymu. Dzień był pogodny, słońce przypiekało, więc dym unosił się wysoko. Po zejściu z wieży, niewiele się zastanawiając, pobiegłem w kierunku Przeczyc, a dalej w kierunku coraz większego dymu. Jechało wiele straży pożarnych, bo syreny słyhać było z wielu stron. Płomienie palących się zabudowań zobaczyłem dopiero po wejściu na górkę przysiółka Gaj przed samymi Toporowicami. Palilo się kilkanaście zabudowań w środku Toporowic.

W miejscu wybuchu, około 50 metrów od drogi i parę metrów za studnią, powstał stożkowaty lej o średnicy, co najmniej 20 metrów i jak mówiono około 15 metrów głębokości, bo gdy dobiegłem w leju była już woda. Musiała to być bomba sporej mocy, jeśli w Wojkowicach Kościelnych odległych o 5 kilometrów zatrzęsała się nasza chałupa. Zdziwiło nie tylko mnie, że cembrowina studni była nienaruszona, a kobieta która w tym czasie z tej studni nabierała wodę, poza ogłuszeniem i ogólnym potłuczeniem, którego doznała na skutek upadku spowodowanego podmuchem, żadnych zranień nie miała. Zginęło natomiast dziecko w domu odległym o około 100 metrów od miejsca wybuchu. Odłamek rozbił okno i trafił w dziecko, które spało w kołysce. Rozbite okno widziałem, ale w dziecko z równym powodzeniem mógł trafić odłamek szyby, a nie bomby.

Parę minut po moim przybyciu nadjechały dwa samochody osobowe. Wysiadło z nich siedmiu mężczyzn, dwóch wyższych oficerów i pięciu cywilów. Podchodząc do leja zatrzymali się chwilę przy studni, pokiwali głowami, a następnie szczegółowo oglądając brzeg leja, bardzo powoli obeszl dookoła. Zatrzymali się tuż obok mnie, wobec czego słyszałem bardzo wyraźnie ich rozmowę. Zrozumiałem tylko tyle, że była to „flügelbombe” – bomba latająca, oraz że trafiając na grząskie podłoże nie spowodowała większych szkód. Gdyby upadła 100 m w kierunku wschodnim na grunt kamienisty, to w promieniu kilkuset metrów wszystko uległoby zniszczeniu. W międzyczasie nadjechały samochody z wojskiem.

Straże i mieszkańcy gasili pożary, a wojsko po całej okolicy, w promieniu, co najmniej 500 m, zbierało odłamki, nawet te bardzo drobne. Widząc że dzieci zaczęły i one zbierać odłamki. Początkowo żołnierze odbierali dzieciom odłamki, a potem zabronili zbierać. Mnie udało się przynieść do domu odłamek blachy aluminiowej o grubości kilku milimetrów, o mocno poszczerbionych krawędziach, w kształcie nieregularnego klina o podstawie około 4 centymetrów i długości około 10 centymetrów. Dałem go memu znajomemu. Według późniejszych pogłosek miała to być zabłąkana rakietka V2.

Oprócz tego, z czym spotykałem się w domu, szkole, czy na plebanii, miały miejsce też inne zdarzenia jak: wprowadzenie w błąd SA-mana, udział w nagance, przejście przez granicę w Ogrodzieńcu – o czym niżej.

Rozeszła się wieść, że Niemcy w drugi dzień świąt Wielkanocnych 1943 roku na przejściu granicznym w Ogrodzieńcu, pozwolą na spotkanie się rodzin, tych z Generalnej Guberni z tymi, co mieszkają na terenach przyłączonych do rejencji katowickiej, czyli do Górnego Śląska zwanego w tym czasie „Oberschlesien”. Ponieważ rodzina szwagra mieszkała w Generalnej Guberni, więc zabrał mnie ze sobą na to ewentualne spotkanie. Dotarliśmy tam wcześniej rano, ale nie byliśmy pierwsi, tłum ludzi rozgościł się już na przyulicznych trawnikach. O tym, kiedy i czy otworzą granicę różne chodziły pogłoski. Około godziny dziewiątej idąc po raz któryś w kierunku przejścia zrównałem się z gospodarzem pędzącym dwie krowy i byczka ma pastwisko znajdujące się za granicą. Krowy ciągnęły za sobą łańcuchy, a byczka prowadził gospodarz przy pomocy drążka umocowanego do kółka wczepionego w nozdrza. W pewnym momencie poprosił mnie abym mu podał końce łańcuchów ciągniętych przez krowy. Poczekałem więc aż krowy przejdą, wzięłem końce łańcuchów i nim podbiegłem do gospodarza, byliśmy już za szlabanem. Czy gospodarz pokazywał jakąś przepustkę nie widziałem, bo byłem zajęty łańcuchami. Praktycznie o przejściu granicy zorientowałem się wtedy, gdy poleciał mi rzucić łańcuchy na ziemię. Przestraszyłem się i zacząłem coś mówić bez składu, ale gospodarz przerwał mi krótko, „Przecie chciałeś przejść przez granicę, to przeszedłeś”. „Po dwunastej będę wracał, to przejdiesz z powrotem, a jak schowamy się za zakrętem, to ja skrucę na łakę, a ty pójdziesz dalej i spotkasz czekających ludzi”. Ludzi czekających spotkałem, o rodzinę szwagra się dopytałem. Były trzy osoby, wcześniej ich nie znałem. Oni mi opowiedzieli o sobie, ja o nas. Chcieli mi dać żywności, ale bałem się cokolwiek nieść, bo mogłoby podpaść. Szwagier był mocno o mnie niespokojny, choć jak się okazało, obserwował moje przejście. Byłem jedynym, któremu udało się spotkać z rodziną. Toteż musiałem kilkakrotnie różnym osobom opowiadać, co usłyszałem od ludzi z GG. W obawie by sprawa się nie wydała, szwagier szybko mnie odwołał, a gdy było już wiadomym, że do otwarcia granicy nie dojdzie, z uwagi na tłumy, udaliśmy się w drogę powrotną do domu.

Na moim przykładzie zorganizowany później został przerzut jeńca wojennego. Ja go lasami i łąkami doprowadziłem do Ogródzieńca, a tam ubrany w bardzo śmierdzącą odzież roboczą z broną na plecach przeszedł granicę. Okazało się, że w tym przypadku przejście przez tzw. „zieloną granicę” byłoby bardziej ryzykowne.

Niemcy wydawali gazety w języku polskim powszechnie zwane „gadzinówkami” nie budziły zainteresowania, jeśli je czytano to głównie z uwagi na drukowane w nich zarządzenia a w ogóle nie wierzono ich treściom. Natomiast gdzieś w połowie 1943 roku z uwagi na drukowaną listę pomordowanych oficerów polskich odnalezionych w katyńskim lesie, gazety te podawano sobie z rąk do rąk i szukano znajomych, zaginionych podczas działań wojennych w roku 1939. Mimo nie najlepszych opinii o bolszewikach, nikt nie wierzył wtedy, że zbrodni tej dokonali Sowietci – przypisywano ją Niemcom, bo z naszych dotychczasowych doświadczeń to do nich całkowicie pasowało a zwalanie winy na Sowietów uważne było za klasyczną propagandę. Taki pogląd na naszym terenie trwał jeszcze przez wiele lat. Ta prawda, przypadkowo w postaci niejawnego dokumentu, dotarła do mnie dopiero po śmierci Stalina w roku 1953.

Latem 1943 roku przy cmentarzu zatrzymała się wojskowa kolumna kilku samochodów ciężarowych. Z szoferki pierwszego samochodu wysiadł hitlerowiec w żółtym mundurze SA z mapą w rękę przywołał mnie ręką i zapytał wymawiając z trudem: „Nach Pyyrkowic ist weg gut?”. Pomogłem mu: „nach Udetweld?”. „Ja, ja” – wyraźnie się ucieszył, równocześnie pokazując mi na mapie drogę przez Marcinków i Przeczyce. Po chwili zastanowienia się potwierdziłem, że tędy jest dobra droga. Podziękował i pojechali. Wiedziałem, że po drodze są miejsca piaszczyste i dlatego się chwilę zastanawiałem, ale zwyciężyła chęć, by szwabom zrobić na złość i świadomie wprowadziłem ich w błąd. Na drugi dzień usłyszałem jak szwagier po powrocie z pracy mówił do mego ojca, że Niemcy chcieli sobie skrócić drogę i wczoraj zakopali się w piaskach koło Przeczyca. Dopiero dzisiaj wyciągały ich specjalnie sprowadzone ciągniki gąsienicowe. Wieźli bardzo ciężkie urządzenia na lotnisko. Bałem się, ale nikomu nic nie powiedziałem.

Jesienią w 1943 roku, a było to pod wieczór i zaczynało już szarzeć, wracając do domu od strony Marcinkowa przy głównej drodze spotkałem mężczyznę w wieku około 50 lat, idącego od Podwarpia. Przez kilkadziesiąt metrów szliśmy obok siebie poboczem drogi, niby to nie zwracając na siebie uwagi. Był wysoki, bo moje oczy były na wysokości jego piersi, ubrany był w czarny garnitur, a na głowie miał czarny kapelusz. W prawej ręce, po mojej stronie, niósł teczkę, a w lewej parasol, też czarny, który służył mu za laskę. Kiedy byliśmy na przeciwko stodoły Cieplińskich stojącej samotnie w polu, zapytał mnie czemu ta stodoła jest sama bez innych zabudowań gospodarskich. Odpowiedziałem mu, że zabudowania gospodarskie przedwojennych właścicieli są w Ujejscu, bo tam mieszkają, a obecnie to wszystko zostało zabrane do dworu i tak rozpoczęła się nasza rozmowa. Nagle w połowie cmentarza, tuż przed bramą, mężczyzna urwał w pół zdania. Pomyślałem, że zaczął się modlić, więc szedłem obok milcząc. Szliśmy tak milcząc prawie do końca cmentarza. Wtedy spojrzałem na niego, był jakiś sztywny, twarz miał bladą jak ściana i to mnie tak przerażyło, że odsunąłem się od niego, ale przy następnym spojrzeniu zauważyłem kota siedzącego na jego lewym ramieniu. Był to kot plebański, znałem go dobrze, zawsze się lasił i lubił, aby go brać na ręce. Wikariusz nosił go często na ramieniu i karmił. Nie namyślając się wiele, zdjąłem kota z ramienia mężczyzny, chwilę go głaskałem i wypuściłem. Pobiegł przez drogę w kierunku księzego ogrodu. Mężczyzna się zatrzymał, głęboko i głośno odetchnął, a następnie opierając się na parasolu schylił się do mnie i zapytał: „To był naprawdę kot? Ty go znasz?”. „Tak znam go, to jest kot z plebanii” – odpowiedziałem krótko i ruszyliśmy dalej. Po dłuższej chwili, prawie przy szkole, zaczął mówić: „Nagle coś szarpnęło mi za parasol i po rękawie wskoczyło na ramie. Wydawało mi się, że to kot, ale na tle cmentarza skojarzyłem to z duchem i przeraziłem się, do tego stopnia, iż bałem się oddychać. Nie wiem, co by się ze mną działo, gdybyś mi tego kota nie zabrał. Bardzo ci dziękuję. Powoli zaczynam dochodzić do siebie”. Powinienem być w tym miejscu pożegnać się i przejść na drugą stronę, by obok organistówki dojść do domu. Wcześniej na drogę ujejską nie skręciłem celowo, bo nie lubiłem przechodzić obok żandarmerii. Teraz jednak poszedłem dalej by wysłuchać dalszego ciągu opowiadania. Z tego opowiadania wynikało jednoznacznie, że facet tego kota wziął za ducha i był tak mocno przerażony, iż niewiele brakowało a byłby wyzionął własnego ducha. Kiedy go pożegnałem przy moście był nadal mocno zdenerwowany. Kot natomiast pomylił najwidoczniej faceta w czarnym garniturze z wikariuszem.

Był taki okres zimą 1943/44 roku, kiedy leżały tylko resztki zmarzniętego śniegu. Po takich resztkach śniegu w niedzielę wczesnym rankiem wyszedłem z domu, by ominąć posterunek żandarmerii, obszedłem cmentarz i drogą obok Marcinkowa udałem się do Przeczyca z zamiarem odwiedzenia znajomych mieszkających w Zakamieniu pod Mierzęciami. W kieszeniach niosłem torebki z namiastkami herbaty i kawy przeznaczone na sprzedaż bądź wymianę na żywność. Znajomi mieli mi w tym pomóc. Na wysokości Pasięki z przejeżdżającej ciężarówki wyskoczył żandarm i zmusił mnie do wejścia pod plandekę. Wtedy zobaczyłem, że jest tam już kilku chłopaków w moim wieku i od nich dowiedziałem się, iż Niemcy organizują polowanie, my jesteśmy im potrzebni jako naganka. Lepsze to

niż wywózka na roboty do Niemiec, ale plan mej podróży stanął pod znakiem zapytania. Zawieziono nas gdzieś w pola, rozstawiono, kazano iść w określonym kierunku, klaskać i krzyżeć. Po jakimś czasie slychać było przed nami strzały, to niewątpliwie do wypłoszonej przez nas zwierzyny. Kiedy cała naganka zesła się w jedno miejsce, myśliwy z największym pędzlem na kapeluszu, mnie i kilku chłopakom kazał zostać, pozostali odeszli grupami w różnych kierunkach. Najwyższego i mnie przydzielono myśliwemu o nazwisku z „von...”. Był szczupły wysoki i miał brązowe bardzo wysokie sznurowane buty, nową dubeltówkę i okulary z grubymi szklami. Po kolejnym rozstawieniu poszliśmy w głąb jakiegoś zagajnika. Nagle pojawił się zając. Nasz myśliwy wystrzelił oba naboje, a zając pobiegł dalej. Powtórzyło się to jeszcze parę razy. Byliśmy zadowoleni, że nie musimy dźwigać zajęcy. W pewnym momencie nasz myśliwy zatrzymał się, dubeltówkę oparł o drzewo, a na pieńku postawił lewą nogę, długo rozsznurowywał buta, zdjął go poprawił filcową wkładkę i zaczął wkładać but na nogę, gdy pojawił się kolejny zając. Wskazał mi dubeltówkę, wziąłem ją, a gdy chciałem mu ją wręczyć szepnął rozkazująco „szisen”. Odruchowo pierwszy raz w życiu wystrzeliłem i nie wiem jak to się stało, że zając padł. Po zająca posłał kolegę, a mnie uściśnął za ramię. Przy następnym pojawieniu się zająca, zamiast sam strzelać znowu kazał strzelać mnie. Tym razem dopiero drugi strzał miałem celny. Kocioł się zamknął. Kolega na punkt zborny przyniósł dwa zajace. Zaczęto składać gratulacje memu myśliwemu. Z rozmów myśliwych na boku, dowiedziałem się, że były to pierwsze przez niego zastrzelone zajace. Na żadnym z dotychczasowych polowań nic nie trafił. Poczuję się w niebezpieczeństwie. Jeśli mi się przy następnych okazjach nie uda trafić, to może być źle ze mną, jeśli będę trafiał, to też mój los może być różny. Postanowiłem uciekać. Jeszcze na punkcie zbornym uprzedziłem go, że muszę się na chwilę oddalić za naturalną potrzebą, a gdy weszliśmy w kolejny zagajnik, powtórzyłem to dwukrotnie tłumacząc mu, że mam rozwolnienie. Zrozumiał, nawet poczęstował mnie herbatą z termosu. Za trzecim razem już nie powróciłem. Poprzez Boguchwałowice, Tuliszków przyszedłem do domu. Jak należy celować – zgrywać muszkę ze szczerbinką dowiedziałem się od nadleśniczego, który mieszkając w Żąbkowicach przyjeżdżał często wizytować lasy w okolicy Wojkowic Kościelnych. Był pochodzenia niemieckiego, stąd mógł nosić dubeltówkę, a z moim Ojcem znali się jeszcze z przed wojny. Czasem po drodze wstępował porozmawiać z Ojcem. O tym nadleśniczym pisałem już wcześniej przy okazji wizyty na posterunku żandarmerii.

Zbliżał się koniec roku szkolnego 1943/44 i wiadomym było, że dzieci z rocznika 1930 zaraz po ukończeniu 14 lat będą musiały pójść do pracy. Podczas okupacji już 14 letnie dzieci zmuszane były do pracy. Arbeitsamt nad tym czuwał. To właśnie było powodem, że Stefan Żak, nauczyciel w wojkowickiej szkole, aby uchronić swą starszą córkę od przymusowej pracy zmienił jej rok urodzenia z 1930 na 1931. Zmiana ta spowodowała, że różnica między siostrami wynosiła tylko niecałe 5 miesięcy. Wiem o tym, bo byłem niezauważonym świadkiem rozmowy na ten temat pana Żaka z kierowniczką szkoły Łucją Piekarską. Kierowniczka obawiała się konsekwencji, ale pan Żak stwierdził stanowczo: „Ja sam za to wezmę odpowiedzialność podpisując w zastępstwie listę uczniów kończących 14 lat w 1944 roku”. Państwo Żakowie mieli dwie córki i syna, byli wysiedleńcami z Łeby, zamieszkali początkowo na Kuźnicy Podleśnej, a po wysiedleniach przeniesiono ich na Ratanice.

Widząc, że moja kolejka wezwania do Arbeitsamtu się zbliża, a koledzy już od początku roku otrzymują wezwania, pierwszego czerwca w czwartek wystawiłem umówiony sygnał pilnego spotkania ze znajomym, bo chciałem się poradzić. Do spotkania jednak przed otrzymaniem wezwania nie doszło. Wezwanie otrzymałem w połowie następnego tygodnia, by nazajutrz po ukończeniu 14 roku życia, tj. 14 czerwca zgłosić się do Arbeitsamtu w Dąbrowie Górniczej.

Od początku maja w zachodniej części plebanii, zamieszkała żona jakiegoś wysokiego urzędnika z Sosnowca. Jako Ślązaczka znała dobrze język polski. Mąż ją tu ulokował na okres ciąży. Ponieważ byłem bardzo częstym gościem na plebanii, m.in. zatrudniał mnie proboszcz przy pracach w ogrodzie, ta „überpani” znała mnie i często prosiła o drobne posługi, w rodzaju przyniesienia czegoś, narąbania drewna, a nawet ucięcia głowy kogutowi. Toteż, gdy otrzymałem wezwanie powiedziałem o tym na plebanii i tą drogą wiadomość ta dotarła do niej. Widząc mnie w sobotę zapytała gdzie chciałbym pracować. Odpowiedziałem, że zamiast pracować wolalbym się uczyć. Wtedy powiedziała, że jej mąż jest szefem okręgu Arbeitsamtów, a więc podlega mu również Arbeitsamt w Dąbrowie Górniczej. Przyjedzie jutro, tj. W niedzielę to ona postara się coś mi załatwić.

W środę 14 czerwca wstałem wcześniej rano, by idąc pieszo przez las do Dąbrowy Górniczej, prawie 10 kilometrów, zdążyć na wyznaczoną godzinę. Gdy zgłosiłem się w Arbeitsamcie, przyjmujący mnie urzędnik już o mnie wiedział i zaproponował mi wyjazd do szkoły pod Berlin. Tak byłem tą propozycją zaskoczony i przerażony, że nie dotarły do mnie dalsze słowa, iż przedtem rodzice moi powinni podpisać volkslistę. Z decyzją powinienem się zgłosić w następną środę. Przerażenie jeszcze bardziej wzrosło, gdy po wyjściu z urzędu dotarła do mej świadomości wzmianka urzędnika o volksliście. Wracalem do domu bardzo przygnębiony. Musiałem wyglądać strasznie, bo gdy wszedłem do mieszkania, matka podbiegła z pytaniem: „Co ci się stało?”. Coś odpowiedziałem, co nie wiem, ale na tyle było skuteczne, że mój wygląd złożono na karb głodu, bo faktycznie od wyjścia z domu nic nie

jadłem, a było już dobrze po południu. O propozycjach opowiedziałem później. Przerazenie było ogólne, a co gorsze brak widoków na jakieś pozytywne rozwiązanie. Na plebanii przez dwa dni się nie pojawiałem, bo nie wiedziałem, co powiedzieć pani Neuman, tak się chyba nazywała.

Co jakiś czas chodziłem sprawdzać, czy jest odzew na spotkanie z moim „Znajomym”. Wypada mi tu wspomnieć, że o moich spotkaniach rodzice raczej chyba udawali, iż nic nie wiedzą. Spotkałem się z „Nim” w piątek wieczorem, ale Mama nie wytrzymała i w piątek przed południem, bez mojej wiedzy, poszła na plebanie, niby po coś, faktycznie chciała się spotkać z panią Neuman. Ledwie Mama weszła na podwórko, ta ją zapytała, co ja załatwiłem i dlaczego się nie pokazuję. Mama jej powiedziała, że za pomoc dziękujemy, ale przerażeni jesteśmy odległością. Ja przecież jestem jeszcze dzieckiem itp. Pani Neuman obiecała, że jeszcze z mężem porozmawia.

Wieczorem opowiedziałem „Znajomemu” wszystko po kolei. Po chwili zastanowienia się, zaproponował mi, bym czekał na niego jutro w tym samym miejscu, a jeśli go nie będzie to we wtorek. Dodał, iż nie powinniśmy się też w niedzielę, ani ja, ani Mama, pokazywać na plebanii, by się nie spotkać z Neumanem.

Po niedzieli spotkana pani Neuman, powiedziała mi, że mąż nie był zadowolony z jej pośrednictwa i powiedział jej, że dla mnie najlepszą pracą będzie poganianie wołów w folwarku, jeśli nie odpowiada mi proponowana nauka.

We wtorek „Znajomy” powiedział mi, abym nazajutrz do Arbeitsamtu nie chodził i czekał na pisemne wezwanie, a jutro niech Mama idzie do pani Szkocowej na Zawodzie (kolonia Wojkowice Kościelnych) i poprosi ją by napisała podanie do Arbeitsamtu o zgodę na zatrudnienie mnie u niej jako robotnika rolnego. Mąż pani Szkocowej nie powrócił z wojny, więc sama z dwojgiem nieletnich dzieci prowadziła gospodarstwo. Jeśli Mama uzyska zgodę pani Szkocowej, to mam dać umówiony sygnał, a podanie zabrać ze sobą po otrzymaniu wezwania. Kolejne wezwanie otrzymałem na 27 czerwca. Urzędnikowi w Arbeitsamcie wręczyłem podanie pani Szkocowej i po chwili otrzymałem Arbeitsbuch – Książkę Pracy, w której wpisano, że pracuję u pani Szkoc od 28 czerwca 1944 roku Tego dnia oprócz śniadania też nic nie jadłem, ale do domu wróciłem zadowolony. Zadowoleni byli też domownicy.

W nowym miejscu formalnej pracy u Szkocowej, nawiasem mówiąc razem z Mamą, byłem kilka razy na początku. Później chodziła tylko Mama twierdząc, że ona więcej robi w polu niż ja, natomiast mnie bardziej odpowiada odrabianie za nią szarwarku przy okopach.

Kopanie okopów rozpoczęli Niemcy w połowie lipca 1944 roku Ciągnęły się one od Tarnowskich Gór przez Sączów, Nową Wieś (na dawnym miejscu), Przechylice, Tuliszków, Podwarpie, Trzebieszawice, Ujejsce, Strzemieszyce i dalej w stronę Jaworzna. Przebiegały one dwoma liniami: okopy strzeleckie z betonowymi bunkrami budowane były pod szczytami wzniesień od strony północno-wschodniej, w taki sposób by widzieć nadchodzącego przeciwnika, natomiast rowy przeciwczołgowe usytuowane zostały u podnóża przeciwnego zbocza w taki sposób, by jadące z góry czołgi do nich powpadały. Dla zachowania możliwości wcześniejszego wycofania własnych wojsk, co paręset metrów, przewidziane były podminowane przejścia. Do wysadzenia tych przejść przeprowadzony został wielożyłowy kabel od Podwarpia aż do Kuźnicy Warężyńskiej. Niezależnie specjalne ekipy wojskowe budowały linie telefoniczne do okolicznych wzgórz, szkół, baterii dział przeciwlotniczych, stacji akustyczno-namiarowych, zespołów reflektorów przeciwlotniczych i innych wyznaczonych miejsc strategicznych. Okopy strzeleckie, głębokie na około 1,5 metra i szerokie miejscami do metra, na całej długości przebiegały zygakiem załamując się, co kilkanaście metrów. Co kilkadziesiąt metrów odprowadzano dojścia do bunkrów i tzw. mijanki, czyli szersze miejsca. Bunkry to betonowa zbrojona metalowymi prętami rura z otworami strzeleckimi i wejściem. Rura nakryta była grubą do pół metra i także zbrojoną metalowymi prętami betonową czapą. Rowy przeciwpancerne miały przekrój odwróconego trójkąta o głębokości około 3 metrów i szerokości 4-5 metrów. W gruncie piaszczystym boki wykładane były faszynami – snopkami z gałęzi sosny obwiązanymi drutami o długości 2 m i średnicy kilkunastu centymetrów. Na odcinku wojkowickim linie okopów przebiegały, począwszy od koryta rzeki Czarnej Przemyszy pod Tuliszwem, przed Podwarpiem i Trzebieszawicami aż do Buczyny (pagórka porośniętego buczyną) pod Ujejscem. Dalej okopy biegły w kierunku Gołonoga.

Każdy dorosły mieszkaniec okolicznych wsi, musiał przy okopach pracować po trzy dni w tygodniu. Mnie na liście nie było, bo gdy sporządzano te listy nie byłem jeszcze osobą dorosłą, czyli nie miałem jeszcze 14 lat. Wobec tego odrabiałem szarwark tylko za matkę i ojca. Z odrabianiem szarwarku za kogoś innego nie było problemu, hitlerowcom chodziło bowiem o wykonanie roboty a nie o tożsamość robotnika. Tym, co spisywali dniówki podawało się tylko nazwisko, imię i adres. Spisującymi były osoby miejscowe znające trochę języka niemieckiego, m.in. córki organisty. Niezależnie od tych obowiązkowych 3 dni tygodniowo bardzo często zarządzano dodatkowo pracujące niedziele, od września obowiązywały wszystkie. Pracowałem więc 7 dni w tygodniu. Na początku w pracującą niedzielę musiał przychodzić ze mną ojciec, później udawało mi się w jednym dniu odrabiać nawet kilka dniówek.

Gdy rozpoczęły się prace przy okopach, przywieziono do Wojkowic Kościelnych różnego rodzaju potrzebnych fachowców z hut, fabryk i kopalń. Trzeba ich było zakwaterować. W nowej szkole miejsca już nie było, bo razem z oddziałem Luftwaffe obsługującym dobrze wyposażoną stację podsłuchowo-nadawczą oraz zestaw kilku reflektorów przeciwlotniczych wychwytyjących i prowadzących zlokalizowany samolot, zakwaterowano także SA-manów (hitlerowców w żółtych mundurach) i żołnierzy Werhmachtu (inwalidów frontowych) nadzorujących pracę przy okopach. Wobec tego część tych wykwalifikowanych robotników zakwaterowano u gospodarzy, a część postanowiono zakwaterować w starej szkole, czyli w naszej izbie. Skutkiem tego nas przesiedlono na Podskale do starego od dawna nie zamieszkałego domku Widawskich. Dom nie był zamieszkały, bo rodzice Widawskich już nie żyli, a dwaj synowie pobudowali sobie nowe domy, jeden tuż obok, a drugi jako jedyny po drugiej stronie drogi. Była to typowa dawna drewniana chałupka pod słomianą strzechą z jedną izbą i przysionkiem. W izbie był piec kuchenny z okapem i piekarnikiem. W przysionku pieca nie było. Mieszkaliśmy teraz w środku wsi z dala od posterunku żandarmerii.

Od czasu jak zacząłem za darmo pracować przy okopach również w każdą niedzielę, miejsce zamieszkania stało się dla mnie jakoś mniej ważnym, wychodziłem wcześniej rano, by być na miejscu przed godziną 7⁰⁰, a przychodziłem wieczorem. Jeszcze w lipcu i sierpniu, gdy był dłuższy dzień, pomagałem ojcu przy zagospodarowywaniu domku i otoczenia, ale we wrześniu wracałem już o zmroku. Z sąsiadami zżyliśmy się bardzo szybko. Rodzice mieli więcej możliwości uzyskania żywności za pracę, a ja prawie każdego dnia wracając z pracy wstępowałem do różnych gospodarzy z wiadomością, że odrobiłem za nich dniówkę na okopach, za co otrzymywałem coś z żywności. Zupa z lebiody była już znacznie rzadziej. Tu też miałem bliżej do kolegów, a wychodząc z domu nie musiałem się każdorazowo upewniać o braku Wagnera w polu widzenia.

Tak więc formalnie i zgodnie z adnotacją w Arbeitsbuchu, zatrudniony byłem jako robotnik rolny w gospodarstwie Janiny Szkoc na Zawodziu, a nieformalnie odrabiałem pańszczyznę za rodziców i okolicznych gospodarzy przy kopaniu okopów.

Po kilku dniach pracy w różnych miejscach, udało mi się „załapać” do magazynu narzędzi. Praca tam była lekka, polegała głównie na sortowaniu połamanych narzędzi i przekazywaniu ich do naprawy, a potem załadowaniu na furmanki, które rozwoziły je po linii okopów. Taka stała praca mi odpowiadała, bo odrabiając szarwark za obojga rodziców i tak musiałem pracować 6 dni w tygodniu, a w niedzielę za jednego z nich, czyli i tak przez 7 dni w tygodniu byłem na okopach. Aby ją utrzymać przychodziłem do pracy wcześniej. Udawało się. Nadzorujący zaopatrzenie, transport, kuźnię i ten magazyn SA-man po kilku dniach, gdy się zorientował, że solidnie pracuję, sam mi zaproponował, abym przychodził codziennie i wtedy on nie będzie szukał innego.

Magazyn mieścił się w stodole na końcu dużego podwórka. Patrząc od drogi, po lewej stronie stał dom mieszkalny, drewniany kryty strzechą, tu mieszkał i urzędował ów SA-man, zwany przez nas „Lopata”, bo tylko to polskie słowo i w taki sposób potrafił wymówić, a po prawej była kuźnia z szopą. W szopie stały dwie kuchnie polowe, w których gotowano napój dla pracujących przy okopach. Był to wywar z bliżej nieokreślonych roślin, przez nas zwanych sianem. Dla poprawy smaku czasem Lopata dosypywał trochę soli. Pod drzewem na podwórku były rozstawione stoły, przy których jedli, przywożone obiady, nadzorujący pracę żołnierze. W kuźni pracował kowal przywieziony tu z huty, jakiej nie wiem. Głównie odkuwał i hartował przebijaki potrzebne przy pracach w kamieniu. Pan kowal, bardzo miły człowiek, widząc jak Lopata porozumiewa się ze mną na migi, przyznał mi się, że zna dość dobrze język niemiecki, ale się z tym nie zdradza. Jeśli czegoś nie rozumiem, a on będzie słyszał, to później mi wytłumaczy. Jeśli o mnie chodzi, to po czterech latach osłuchania i korzystania z samouczka znalezionego w szkole pod schodami, też już wiele rozumiałem, choć nie dawałem tego po sobie poznać. Mając chwilę czasu chętnie zachodziłem do kuźni i pomagałem kowalowi, co widząc Lopata akceptował i pochwalał. Tu po raz drugi mogę powiedzieć szczerze, iż terminowałem również u kowala.

Dodatkową zaletą pracy w magazynie było jeszcze to, że w jednym dniu mogłem zaliczyć więcej niż jedną dniówkę. Taką możliwość dawało mi prawie codzienne chodzenie do biura z dokumentami Lopaty. Biuro mieściło się w innym budynku odległym o około 200 metrów. Tam w sieni na stole leżał zawsze zeszyt, do którego wpisywali się zatrudnieni w pobliżu polscy robotnicy, więc i ja też tam wpisywałem dane tej osoby, za którą w danym dniu odrabiałem „dodatkowy” szarwark. Przy takich możliwościach, odrabiałem szarwark nie tylko za rodziców, ale również za niektórych mieszkańców okolicznych wsi. Po pracy informowałem taką osobę, że dzisiaj za nią odpracowałem dniówkę, a zapłatą była dla mnie żywność.

Oprócz pracy w magazynie do moich obowiązków należało też, objeżdżanie linii okopów i sprawdzanie czy zostały zebrane wszystkie uszkodzone narzędzia. Jadąc tak wzdłuż linii okopów, spotykałem „pisarzy”, którzy zapisywali dniówki pracującym. Ponieważ zadaniem „pisarza” na swoim odcinku było zapisywać każdego spotkanego przy pracy, więc i ja też byłem zapisywany, naturalnie pod takimi

danymi, jakie podawałem. Nikogo to nie dziwiło, bo odrabianie za kogoś było stosowane bardzo często. Rekordem moim było zapisanie pięciu dniówek w jednym dniu.

Znałem dobrze cały teren budowy i rozmieszczone na nim obiekty. Natomiast trasę ułożenia kabla znałem tak dokładnie, że w kilku miejscach mogłem wskazać jego miejsce nawet pod śniegiem. Informacje o tym przekazałem „Znajomemu”, zainteresowało go to, ale do tematu nie wrócił.

Zdarzało się też dość często, że zbierano ludzi do rozładowywania transportów samochodowych, przywożących materiały budowlane, głównie cement i pręty do budowy bunkrów. Do kilku z nich i mnie też zabrano, a tam nakładano mi 50-cio kilogramowe worki na plecy i musiałem je nosić do stodół, bo te we wsiach Tuliszków, Zawarpie i Trzebieszawice pozamieniano na magazyny. Zamiast noszenia w niektórych miejscach część robotników mogła wozić cement w taczkach, ale wtedy do taczek wkładano po 3 worki to jest 150 kilogramów. Te i inne przymusowe wysiłki przy mizernym moim wyżywieniu zaowocowały naciągniętymi ścięgnaми rąk i barków, co objawiło się do dziś trudnością rozprostowania dłoni, oraz ograniczeniem ruchu w stawach barkowych.

W sierpniowy, słoneczny i bezchmurny dzień 1944 roku, prawie w samo południe, nagle od północy dał się słyszeć miarowy warkot silników i nad krzewami góry Warpie ukazały się błyszczące w słońcu srebrne samoloty. Było ich kilka. Płynęły w zwartym szyku, bardzo wysoko w naszym kierunku. Przebywałem w tym czasie w pobliżu kopanego rowu przeciwczołgowego prawie w samym środku wsi Podwarpie (przy starej szosie). Gdy spostrzegli je hitlerowcy, kazali natychmiast nam się pochować, a sami już trzęśli się ze strachu pod drzewami. My chcieliśmy widzieć te samoloty, więc wychodziliśmy spod drzew. Widać było radość na wszystkich naszych twarzach. Popłynęły na południe z lekkim odchyleniem wschodnim. Nie przeszkadzało im, że w ich miarowy warkot włączyły się wybuchy pocisków przeciwlotniczych. Znacznie poniżej pojawiające się małe chmurki świadczyły jedynie o tym, że pociski do nich nie sięgają. Samoloty znikły nam z oczu, ale po kilku minutach dotarły do nas odgłosy silniejszych detonacji. Ktoś powiedział, że bombardują rafinerię w Trzebini. Pokazały nam się znowu, tym razem na południu. Wracaly w takim samym szyku, a gdy znikły za Warpiem, hitlerowcy powyłazili z kryjówek i wściekli popędzili wszystkich do roboty. Ja, spod drzewa na ulicy wróciłem do swego magazynku i zająłem się sortowaniem połamanych narzędzi, które tuż przed nalotem przywozła mi furmanka z linii okopów strzeleckich.

Po zakończeniu sortowania narzędzi poszedłem jak zwykle pomóc kowalowi. Kowal był wyraźnie podniecony i jak tylko wszedłem powiedział mi po cichu: „To bombardowanie na pewno jest związane z powstaniem, jakie wybuchło w Warszawie. Tam już walczą od paru dni, a ruscy doszli już do Wisły”. Widząc niewątpliwie moje duże zaciekawienie dodał: „Wiem, że jesteś dyskretny i wiesz, co komu można powiedzieć. Jak będę więcej wiedział, to też ci powiem. Na razie o powstaniu niewiele wiadomo”. Słowa dotrzymywał i co jakiś czas powtarzał: „Jeszcze walczą”, aż w końcu, gdzieś w połowie października, bardzo zmartwiony wyszeptał: „Skapitulowali”. Dla mnie i oczywiście dla moich najbliższych była to jedyna w tym czasie informacja o Powstaniu Warszawskim. O zbliżającym się froncie wiedziano więcej.

Bombardowanie tym razem odbyło się w dzień, bo normalnie naloty przeprowadzano nocą, głównie bombardowano fabryki syntetycznej benzyny na Opolszczyźnie. Niektóre z tych samolotów po wykonaniu swych zadań przelatywały nad naszymi terenami i dla utrudnienia ich lokalizacji przez urządzenia radiolokacyjne wyrzucały paski folii aluminiowej, która powodowała fałszywe echa w aparatach nasłuchowych i ekranach radarów. Ścigane one były także przez reflektory. Czasem rano znajdowaliśmy odłamki pocisków. O trafieniu nie było wieści, choć słyhać je było przelatujące czasem bardzo nisko zwłaszcza, gdy kierowały się do ostrzału stanowisk artyleryjskich i lokacyjnych.

W miastach i większych osiedlach władze okupacyjne zorganizowały cywilną obronę przeciwlotniczą, tworząc odpowiednie służby przeciwpożarowe i schronowe. Wolnostojące piwnice i podpiwniczenia pod masywniejszymi domami zostały zamienione na schrony przeciwlotnicze i oznakowano je strzałkami i napisem „Luftschutzraum”. W czasie przechodzenia frontu przydały się i nie tylko one dla miejscowej ludności jako schronienie przed pociskami armatnimi i karabinowymi.

W czwartek pod koniec listopada przyszedł do mnie Lopata i polecił mi po niemiecku i na migi, abym do niedzieli zebrał wszystkie narzędzia z odcinka tuliszwowskiego i przerzucił je na odcinek trzebieszawicki, bo tam w niedzielę przyjadą do roboty pracownicy administracyjni z całego Zagłębia, a także z hut i kopalń. Dla pewności powtórzyłem jego polecenie po polsku i na migi. Po odejściu Lopaty zawołał mnie kowal, bo według niego powtórzyłem miejscowości odwrotnie i chciał się upewnić czy dobrze zrozumiałem polecenie Lopaty. Okazało się, że zrozumiałem właściwie. Ale po chwili naszła mnie myśl przekory – a może by jednak zrobić odwrotnie? Poszedłem do punktów naprawy sprzętu, aby ich uprzedzić, że wszystkie narzędzia na niedzielę muszą być sprawne. Objechałem furmanką całą linię okopów od Tuliszowa do Trzebieszawic i pozbierałem nawet drobne części narzędzi. W piątek rano podszedłem do kowala, a ten już w pierwszym słowie zapytał, co mnie gnębi. Powiedziałem mu o swoim zamiarze. Długo się zastanawiał i w końcu przyznał, że byłby to niezły kawał dla Szwabów, ale również bardzo przykry dla mnie. Chęć dokuczenia okupantowi była jednak silniejsza. Po rozmowie

z kowalem skierowałem 5 furmanek na odcinek trzebiesławicki, by pozbierali wszystkie narzędzia aktualnie nieużywane, ale sprawne i przewieźli je na odcinek tuliszowski, a uszkodzone do punktów naprawy. W sobotę rano z tym samym zadaniem pojechały jeszcze dwie furmanki, a na zakończenie pracy pojechałem sprawdzić jeszcze sam. Po powrocie zameldowałem Lopacie, że polecenie zostało wykonane i chciałem, aby on sam to jeszcze sprawdził. Lopata pokiwał ręką i poszedł. W niedzielę byłem już przed czasem. Jak tylko przyjechały pierwsze furmanki, załadowaliśmy resztki narzędzi, by zawiozły je na odcinek tuliszowski jeszcze przed rozpoczęciem pracy. Lopata wyraźnie był zadowolony. Około godziny dziesiątej podjechały dwie czarne limuzyny, wysiadło z nich trzech młodych hitlerowców w czarnych mundurach z trupimi czaszkami na czapkach i poszli do Lopaty. Po chwili wyszli z budynku i Lopata mnie zawołał. Pytał mnie, gdzie zawiozłem narzędzia. Odpowiedziałem, że na odcinek tuliszowski, bo tam mieli przyjechać ludzie do pracy. Pomagałem sobie przy tym nie tylko rękami, ale i nogą, rysując przebieg okopów na piasku. W tym momencie nadszedł geodeta, młody chłopak po szkole krakowskiej i Lopata polecił mu, aby tłumaczył, co ja mówię. Powtórzyłem od początku, a on tłumaczył dokładnie każde moje słowo, że w czwartek otrzymałem polecenie zabrania wszystkich narzędzi z odcinka trzebiesławickiego i przewiezienia ich na odcinek tuliszowski. W ciągu piątku i soboty wszystko zostało przewiezione, a także dowieziono wszystkie naprawione. Sam to wczoraj sprawdziłem i proponowałem sprawdzenie także panu Kierownikowi. Lopata przyznał, że zwracałem się do niego z propozycją sprawdzenia, oraz dodał, iż całkowicie mi zaufał, bo zawsze każdą pracę wykonywałem solidnie. Na to jeden z hitlerowców dodał, „To widzieliśmy, tam wszystkie narzędzia stoją na baczność. Robota wykonana bardzo dobrze, z niemiecką dokładnością, ale odwrotnie. Wina leży po twojej stronie”. Podeszedł do Lopaty i uderzył go w twarz, tak mocno, że ten upadł, a gdy wstał uderzył go jeszcze dwa razy. Na odchodne powiedzieli, że furmanki na ich polecenie przewożą już narzędzia na odcinek trzebiesławicki. Lopata stał ze spuszczone głową i po chwili poszedł do budynku. Ja poszedłem do magazynu, ale po chwili wyszedłem, kiwnąłem delikatnie ręką kowalowi i udałem się za stodołę, a potem okrężną drogą do domu. Nie byłem całkowicie zadowolony ze swego postępu. Uświadomiłem sobie, że ten około 60-letni Lopata był dobrym człowiekiem, mógł przecież całą winę złożyć na mnie – wybrał jednak spoliczkowanie przez dwudziestoparoletniego gestapowca. A ja? Doko- nałem małego sabotażu i skrzywdziłem nie tego hitlerowca, napytałem sobie strachu, oraz co najmniej na miesiąc straciłem dobrą pracę i szansę dodatkowych profitów w postaci żywności za odrobione dniówki.

Rodzicom nic nie powiedziałem, więc następnego dnia poszedłem do pracy przy zwijaniu „faszyn”. Faszyna to obwiązany drutem snopek z gałęzi sosny, długi na 2 metry o średnicy kilkunastu centymetrów. Faszynami obkładane były ściany okopu przeciwpancerneho, by nie obsypywał się piasek. Praca wymagała dwóch osób, a norma dzienna wynosiła dwieście sztuk, które musiały być ułożone w dwóch sągach po 100 sztuk. Faszyny robiło się w ten sposób, że na specjalnie przygotowany warsztat złożony z trzech krzyżaków nakładano się równomiernie gałęzi sosny i świerka, a następnie wiązało się je drutem w czterech miejscach. Spotkałem tam kolegę i w dwójkę wyrabialiśmy po dwie normy. Druga norma, polegała na przeniesieniu faszyn z dwóch innych sągów. Aby nie podpadało to pracując bardzo szybko, gdy patrzył nadzorca, równolegle układaliśmy dwa sągi, a gdy nie było go w pobliżu dodatkowo rozbieraliśmy jeden już istniejący sąg dokładając do tych dwóch i tworząc początek trzeciego, następnie kończąc pierwszy zaczynaliśmy rozbierać drugi też już wcześniej istniejący sąg dokładając do drugiego i trzeciego oraz tworząc początek czwartego. Nadzorował pracę stary frontowy żołnierz inwalida, kulał na lewą nogę i na lewej ręce stałe nosił rękawicę. Widać było, że ma już dosyć tej wojny, więc swą rolą za bardzo się nie przejmował. Wołał posiedzieć pod drzewem przy ognisku i pykać fajkę, niż łaźać z bolącą nogą między sągami. By siedział jak najdłużej i nie musiał wstawać, to co jakiś czas dokładaliśmy mu patyków do ognia. Te patyki, to obcinane końce gałęzi, gdy były dłuższe od 2 metrów. On był zadowolony a my mieliśmy pewność, że nas nie nakryje. Pod koniec drugiego tygodnia, gdy już prawie zapomniałem o swoim postępku, zjawił się geodeta, ten, który tłumaczył moje wyjaśnienie. Odwołał mnie na bok i powiedział, że jestem poszukiwany. Na razie nie mogą dojść, kim ja jestem, bo wieszycie u Lopaty brak jest nazwiska, które powtarzałoby się codziennie. Faktycznie, nazwisko rodziców podawałem najchętniej pisarzom na linii okopów, bo ci mnie znali, potem wpisywałem nazwisko w biurze, ale też tylko raz w danym dniu, a dopiero na końcu u Lopaty i tu najczęściej wypadło nazwisko któregoś z sąsiadów. O geodetę byłem spokojny, ale bałem się, że niechcący mogą mnie wydać pisarze. Szczęściem w tygodniu przedświątecznym spadły śniegi i praca przy okopach ustała. Było mi to całkowicie na rękę, gdyż i tak musiałbym przestać przychodzić do pracy z obawy przypadkowego rozpoznania. W ostatni dzień, gdy po prawie metrowych zaspach doszliśmy z kolegą na stanowiska pracy nasz nadzorca, stary inwalida frontowy, pomruczał coś pod nosem, zapisał tylko nasze nazwiska i kazał iść do domu. Po drodze wybraliśmy sobie ze ściętych stosów dwie choinki i przywlekliśmy je do domu.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Przywleczona choinka została ubrana bardzo skromnie, na niektórych gałązkach zamiast świeczek, których było mało, starodawnym zwyczajem zapalone zostały

sosnowe drzazgi. Jeszcze skromniej było na wigilijnym stole. Dodatkowe nakrycie pozostało puste. W święta, poza pójściem do kościoła, więcej nie wychodziliśmy z domu, nie zaproszeni nie chcieliśmy wymuszać na sąsiadach by nas częstowali a my nie mieliśmy czym. Ale wielu z nich przysłało swe dzieci z kawałkami świątecznego placka. Wielkie dzięki im za to, bo dzięki takiemu gestowi mniej czuliśmy się osamotnieni i mniej dokuczalo nam wygnanie. Po świętach ruch wojsk już był tak duży, że o okopach nie myślałem, ale brakowało mi stałego zajęcia. Wraz z zaprzestaniem pracy w magazynie, utraciłem kontakty. Nudziło mi się w domu, ale gdy tylko wyszedłem poza wieś Podskale, gdzie w tym czasie mieszkaliśmy, napotykałem wojsko i wracałem do domu.

Gdy 14 stycznia ruszyła ofensywa radziecka z nad Wisły, również na Podskalu pojawiło się wojsko. Widziałem też żołnierza niosącego karabin na ramieniu trzymany za lufę, a był to ten stary kulawy żołnierz niemiecki, który przedtem nadzorował pracę przy faszynach. Ponieważ cała wioska była zabudowana po jednej zachodniej stronie drogi i tylko jedno zabudowanie było po stronie przeciwnej, to Niemcy swoje działa musieli ukrywać na podwórkach, a sami siebie w zabudowaniach. Nas mieszkańców zapędzono do piwnic. My, tzn. ja z rodzicami i moja siostra z rodziną, oraz sąsiedzi z przyległego starego domu, przebywaliśmy w piwnicy naszych gospodarzy, razem kilkanaście osób. Jedyne okienko, wychodzące na stronę wschodnią, zatkane było poduszkami, jako osłona przed kulami. Wojsko się zmieniało, jedni wychodzili w kierunku wschodnich ujejskich wzgórz, a inni przychodzili na odpoczynek, przez pewien czas byli nawet Własowcy – ukraińscy nacjonaliści współpracujący z hitlerowcami. Każdorazowo przed wyjściem na linię okopów, lub odejścia formowali się w cieniu tego jedynego zabudowania usytuowanego po wschodniej stronie drogi.

W nocy ze środy na czwartek przelatujący samolot zrzucił dwie niewielkie bomby. Spadły one kilkanaście metrów za stodołę naszego gospodarza nie wyrządzając żadnej szkody. Niemcy podejrzewali, że to gospodarz z przeciwka był przyczyną, bo idąc z domu do chlewa nie zasłonił lampy i lotnik zobaczył światło. Obowiązywało przecież zupełne zaciemnienie nie tylko okien. Co go za to spotkało nie wiem – wyżył, ale krzyku było sporo.

W czwartek 18 stycznia ruch wojsk niemieckich wyraźnie się zwiększył i działa rozmieszczone na podwórkach częściej strzelały. Późnym wieczorem, na tle dalszej kanonady usłyszeliśmy w pobliżu kilka długich serii wystrzałów z broni maszynowej i tak przeraźliwe krzyki na drodze, że wywołały w nas trwogę i pytania, „Co tam się stało?”. Po chwili wybijając kolbami niezamknięte drzwi wejściowe, wpadli do naszej piwnicy uzbrojeni po zęby żołdacy i z pytaniem – „wo ist Ivan?, wo ist Ivan?” – wylegitymowali wszystkich naszych mężczyzn i przeszukali wszystkie pomieszczenia piwniczne. Inni przeszukiwali pozostałe pomieszczenia domu. Okazało się później, że pojawił się trzyosobowy patrol radziecki i z bardzo bliskiej, kilkumetrowej odległości, z za muru sąsiedniej posesji, ostrzelał formujący się oddział niemiecki. Z oddziału liczącego ponad 100 osób zginęło kilkanaście, a z pozostałych, co najmniej połowa było rannych. To właśnie tych „Iwanów” szukali hitlerowcy.

W piątek wieczorem gospodarz usłyszał kwiczenie wieprzka. Przez uchylone drzwi zobaczył na podwórku biegające zwierzę. To żołnierze chowający się przed kulami otworzyli chlew, a wystraszony ciągłymi wystrzałami wieprzek wybiegł na podwórko. Wraz z moją Mamą pod świszczącymi kulami zapędzili go z powrotem do chlewa. Refleksja przyszła po fakcie.

Jeszcze w sobotę, z różnym natężeniem, strzelały działa ustawione na naszym podwórku. Przez te kilka dni nie można było wyjść z piwnicy, by zagotować przynajmniej wody, jedliśmy zimne potrawy. Żołnierze nie pozwalali na opuszczanie piwnicy, być może nie chcieli mieć obserwatorów w oknach, lub obawiali się jakichś działań z naszej strony.

W nocy z soboty na niedzielę kanonada przeniosła się gdzieś dalej na zachód. Nastąpiła cisza. Pierwszy na zwiad poszedł gospodarz, a za nim pozostali mężczyźni. Na podwórku nie było armat, nie było żołnierzy, nie było też wieprzka. Gdy nam to oznajmili, przy wejściu powstał tłok, wszyscy chcieliśmy to zobaczyć, ale na podwórko wychodziliśmy pojedynczo, nieśmiało i z niedowierzaniem. Co było poza zabudowaniami i dalej na drodze trudno było dojrzeć w ciemnościach. Wraz ze świtem dotarła do nas wiadomość, że Niemcy wycofali się za rzekę Czarną Przemszą. Częstsze odgłosy walki dochodziły z kierunku Warężyna. Nadal przebywaliśmy w piwnicy.

Rano w niedzielę 21 stycznia o godzinie 8²⁰ pojawił się na drodze pierwszy żołnierz radziecki. Wyszedłszy mu ze szwagrem na spotkanie. Wszedł na podwórko i po kilku zdaniach wymienionych ze szwagrem, zapytał go o godzinę, a gdy szwagier wyjął zegarek sięgnął po niego i chciał mu go zabrać. Szwagier trzymał zegarek, a żołdat łańcuszek, którym zegarek był przypięty do marynarki. Trudno powiedzieć jak by się to skończyło, gdyby nie oficer, który wchodząc na podwórko coś powiedział. Żołdat puścił łańcuszek i odszedł od szwagra. Zaczęła się teraz rozmowa oficera ze szwagrem. Oficer zorientowawszy się, że szwagier posiada przeszkolenie artyleryjskie, zaczął wypytywać go o ewentualne stanowiska ogniowe Niemców i warunki terenowe. Ja opowiedziałem mu o przebiegu okopów strzeleckich i przeciwpancernych, o przejściach między nimi i bunkrach magazynujących amunicję, gdyż znałem to bardzo dobrze. Podziękowawszy nam, jak się wyraził, za dużo cennych informacji odeszli w kierunku centrum Wojkowie Kościelnych. Niemcy obsadzili wzgórze za rzeką Czarną Przemszą

trzymali się prawie przez tydzień. Wystrzały artyleryjskie nadal było słycać, co jakiś czas również bliskie wybuchy, więc kto nie musiał z piwnicy nadal nie wychodził.

W poniedziałek 22 stycznia przed południem wyszedłem z piwnicy po wodę do studni. Ledwie nabrałem wody usłyszałem wybuch na początku wsi, wybiegłem na drogę i zobaczyłem kłęb kurzu przy pierwszym budynku. Za chwilę wybuchł pocisk kilkadziesiąt metrów bliżej, a za nim następny jeszcze bliżej. Wtedy bez wody wpadłem do domu i schodami do piwnicy. Ledwie zdążyłem się schować za ścianką, pocisk rozerwał się nad drzwiami wejściowymi. Posypały się po schodach odłamki, szkło, drewno i cegły. Były jeszcze następne odgłosy wybuchów, ale już dalej. Okazało się, że to Niemcy wypatrzywszy radzieckiego obserwatora na wieży kościelnej, strzelali do niej aż ją zburzyli. Okazało się też, że nie zdążyłem wtedy z prawą ręką i kawałek szkła utkwiał mi w pierwszym członie środkowego palca. Wydłubałem go po 10 latach, nadal pozostał mi jasny ślad, a pod nim zgrubienie. Z późniejszych ustaleń wynika niedwuznacznie, że działo, z którego strzelali Niemcy znajdowało się na naszym podwórku w Kuźnicy Wareżyńskiej.

Niemcy wysadzili most na rzece Czarnej Przemszy, tym razem na lewej odnodze. Walki trwały. W poniedziałek około południa (po zburzeniu wieży) przyjechał po szwagra oficer radziecki, ten, z którym rozmawialiśmy w niedzielę i zabrał go do sztabu mieszczącego się w budynku gminnym. Przed odjazdem zapytał mnie jeszcze o kilka szczegółów dotyczących odcinka między Tuliszowem a Boguchwałowicami. Powiedział też, że poprzednie moje informacje dokładnie się sprawdziły. Szwagier był tam ponad trzy doby, służąc im jako doradca ze znajomością terenu.

W środę poprzez Pastwiska i Chałupki, ze sporymi trudnościami dotarłem do sztabu, by odwiedzić szwagra. Wtedy dowiedziałem się, że dwa lata starszy ode mnie Władek Krawczyk służący u Szafrugów zginął przed piwnicą trafiony kulą karabinową. Mocno to przeżyłem, bo mieszkając prawie dwa lata w tym samym domu, przez ścianę, zdążyłem się z nim zaprzyjaźnić. Widziałem też wielu rannych żołnierzy wiezionych w kierunku Ujejsca. Po godzinnym pobycie w budynku gminnym, gdzie mieścił się sztab i zjedzeniu grochówki z wędzonką, zostałem odprowadzony przez żołnierza aż do nowego cmentarza. Dalej już sam z żołnierskim bochenkiem chleba pod pachą poszedłem do domu, na razie jeszcze tymczasowego. Aczkolwiek siostra i rodzice wiedzieli, że wybieram się do Wojkowic sprawdzić, co dzieje się ze szwagrem, to moją nieobecnością bardzo się niepokoiли. Widok mnie i chleba oraz wieści o szwagrze bardzo wszystkich ucieszyły.

Rosjanie kilkakrotnie przechodzili wpływ przez rzekę, nim udało im się zdobyć niemieckie umocnienia na Kuźnicy oraz na waręskich i przeczyskich wzgórkach. Ilu tam padło, jednych i drugich, przekonałem się po kilku dniach.

Początek 1945 roku zaczął się grubą warstwą śniegu i sporym mrozem. Bauerzy zbierali się wieczorami w sklepie na Kuźnicy i coraz więcej pili. Mimo pozorów pewności siebie byli coraz bardziej zdenerwowani. Gdy ruszył front z nad Wisły, zaczęli się pakować i w końcu uciekać. Ładowali na furmanki, co tylko mogli, zarówno swoje rzeczy jak też zrabowane poprzednim właścicielom. Zdawali jednak sobie sprawę z trudności transportowych, bo niektóre rzeczy jak zastawy stołowe i naczynia kuchenne zakopywali w ziemi. Udawali, albo faktycznie wierzyli, że jeszcze tu powrócą. Początkowo kierowali się na stację kolejową w Ząbkowicach, gdzie miały być podstawione wagony towarowe, czy tak było jeszcze tego nie ustaliłem. Wyglądałoby jednak na to, że pojechali furmankami dalej, bo jedna z wieści mówiła, że za Łabędami czołgi radzieckie rozbiły ich tabory. Ile i tu w tym prawdy trudno powiedzieć.

Kilka lat temu obiegra okolicę wieść, że na terenie młyna w dawnej Kuźnicy Wojkowskiej, a obecnie na terenie kopalni piasku, podczas wybierania nawierzchni, koparka odkryła tajemniczą skrzynkę. Wezwano saperów. Ci zabezpieczyli spory teren, bo skrzynka nie była mała. Po wydobyciu skrzynki, obmacaniu, osłuchaniu i zarządzeniu dodatkowych ostrożności, przystąpiono do jej otwarcia. Dzięki temu, że prace te prowadzone były bardzo ostrożnie, znajdującą się w środku między innymi porcelana nie uległa potłuczeniu. Po obejrzeniu zawartości, przypomniano sobie, że podobne rzeczy widziano u bauera mieszkającego w Waluszczykowym młynie. Wynika z tego, że w styczniu 1945 roku, kiedy trzeba było szybko wciekać, bauer wolał posiadane dobra zakopać, niż je zabierać ze sobą niepewnym transportem w niepewną przyszłość. Skojarzono też z tym faktem dziwnych turystów niemieckich, którzy w międzyczasie wielokrotnie odwiedzali ten teren. Ku rozczarowaniu znalazców skarb zabrano i przekazano do skarbu państwa. Co stało się z innymi zakopanymi skarbami nie trudno się domyślić, przynajmniej większość wykopali prawowici właściciele gospodarstw.

Po wycofaniu się hitlerowców z Kuźnicy, tuż za wojskiem radzieckim, w piątek 27 stycznia poszli na Kuźnicę moi rodzice ze szwagrem. Zastali pusty i bardzo mocno uszkodzony dom. Na podwórku były ślady po niemieckich działach, a wewnątrz pełno przekrwionej słomy i bandaży. Wyburzona tylna ściana służyła niewątpliwie jako korytarz, którym dostarczano amunicję. Świadczyły również o tym łuski i puste skrzynki po amunicji. Dom był pusty, bo mieszkająca w nim przez ponad 2 lata Chmielewska z rodziną, natychmiast po ucieczce bauerów przeniosła się z całą zawartością do swego domu. Z naszego domu znikło wszystko, również to, co pozostawiliśmy w czasie wysiedlenia. Z inwen-

tarza udało nam się odzyskać tylko jedną krowę i to z wielką trudnością, bo Gwoździowie nie chcieli jej wydać. Nasze pola również były puste.

Większość mieszkańców potraciła bardzo dużo, niektórym nawet zabudowania zostały zburzone, nielicznym coś zbudowano, jedni mieli pola obsiane a inni puste, ale byli i tacy, którzy sporo zyskali a do nich należy zaliczyć tych, którzy podczas wysiedlenia zostali przesiedleni do innych domów a po ucieczce bauerów wrócili do swoich. Wśród tych byli nawet tacy, co do pozostawionego przez bauerów dobytku przynieśli jeszcze wszystko to, co było w domu zamieszkania, czyli własność nieobecnego prawowitego właściciela.

Po prowizorycznym zabezpieczeniu jednego z pomieszczeń i rozpalenia ognia pod kuchnią, rodzice zostali na noc a szwagier wrócił na Podskale. Po drodze wstąpił do sztabu wojskowego i udało mu się załatwić samochód do przewiezienia części naszych rzeczy na Kuźnicę. Na drugi dzień wcześniej rano podjechał wojskowy gazik. Załadowaliśmy na niego prawie cały nasz dobytek, bo szwagier z rodziną na razie nie miał gdzie się przeprowadzić, nasz dom był zrujnowany. Do zabrania pozostały więc tylko nasze, własnej roboty, podstawowe meble. Tym gazikiem razem ze szwagrem pojechałem na Kuźnicę, pierwszy raz po prawie trzech latach. Trzeba było, choć prowizorycznie, naprawić dom. Skrzynki po amunicji napełnione słomianą mierzwą musiały zastąpić cegłę, a glina zmieszana z sieczką nad ogniskiem była zaprawą murarską. Podziurawiony dach połatany został skrawkami plandek samochodowych i pałatek żołnierskich znalezionych przy zerwanym moście i w obejściu. Przekrwiona słoma i bandaże posłużyły nam jako opał, a resztki czystej słomy jako podściółka dla krowy. Trzeba też było starać się o żywność nie tylko dla siebie, ale także dla krowy. Dużym zastrzykiem było znalezienie przeze mnie w śniegu między mostami rozbitej beczki z kiszoną kapustą, która prawdo podobnie spadła z samochodu wojskowego, w trakcie pokonywania objazdu zerwanego mostu. Dla wygłodzonych naszych żołądków była ona tak smaczna, jak żadna inna – ani przedtem, ani potem.

Jednymi z pierwszych milicjantów urzędujących w Wojkowicach Kościelnych na posterunku przedwojennej Policji Państwowej, który również zajmowali żandarmi niemieccy byli: Jan Pitas i Franciszek Adamczyk. W pierwszych dniach po wyzwoleniu jedynym wyróżnikiem milicjanta był karabin i opaska na lewym przedramieniu.

Dla pogrzebania trupów leżących na polach obu Kuźnic, górki Waręskiej i Warężyna utworzona została kilkuosobowa grupa, mająca za zadanie zebranie trupów, opisanie ich i pogrzebanie. Mnie przypadła rola opisywania. Najwięcej trupów było na Wołku, wokół i wewnątrz zabudowań Maksymiliana Pitasa, widocznie tam rozegrała się walka wręcz. Trupy były w różnym stanie. W pełnym umundurowaniu było niewielu, u większości brakowało butów. Trzy trupy wyciągnięte ze spalonej stodoły były mocno zwęglone. Żołnierzy radzieckich pochowaliśmy obok krzyża w specjalnie wykopanym dole na skraju lasu przy skrzyżowaniu szosy Katowice - Warszawa z drogą prowadzącą na Kuźnicę Podleśną. Na tej mogile później powstał tymczasowy pomnik. Żołnierzy niemieckich chowaliśmy w lejach po bombach i w rowach strzeleckich, bez specjalnego oznakowania. M.in. takie dwa doły zostały wykorzystane pod samym lasem za mogiłą żołnierzy radzieckich.

Kilka dni później stojąc w śniegu na poboczu drogi, ponieważ usunąłem się, aby przepuścić kolumnę jadących samochodów wojskowych, widziałem jak z przejeżdżającego samochodu wojskowego wyrzucony został na drogę dzwoniący budzik. Dlaczego – nie wiem. Początkowo się przestraszyłem słysząc słowa „Czort jewo pabieri!”. Przestał dzwonić, gdy na niego najechał następny samochód. Przez chwilę stałem zdumiony i patrzyłem w miejsce, gdzie w śniegowej mazi leżał zegar, ale gdy samochody były już daleko wygrzebałem go. Był tylko trochę zgnieciony i miał popękana szybkę, zrobiło mi się żal, że tak został potraktowany, więc go zabrałem. W wolnych chwilach rozebrałem go, wyprostowałem osie i miałem dużo satysfakcji, gdy zaczął chodzić, na razie bez dzwonięcia. Dzwonienie, z dużymi trudnościami, udało mi się uruchomić parę miesięcy później, przydał się, gdy zacząłem chodzić do szkoły.

Pewnego marcowego wieczoru usłyszeliśmy zbliżającą się kanonadę, to na wojskowej ciężarówce od strony Będzina jechali żołnierze krzycząc i strzelając. Przez Kuźnicę Warężyńską przejechali bardzo szybko i skierowali się w kierunku Przeczyc. Słysząc ich było jeszcze za Warężynem. Choć takie zachowanie Czerwoarmiejców nie było nam obce, to owe przekraczało wszystkie dotychczasowe. Jak się później okazało, grupa niemieckich żołnierzy chcąc się przedrzeć na zachód udawała pijanych żołdatów radzieckich. Przeholowali i dlatego zostali zatrzymani. Przypuszczalnie pojechali śpiewać do tajgi.

Wiosną 1945 roku słyszałem z wielu ust, że na Bielowiznie jakaś staruszka, mieszkająca samotnie w starej chacie, przez całą okupację przechowała Żyda w piwnicy. Żyd miał około 40 lat. Na zakup żywności dawał jej posiadane przedmioty, wiele z nich było ze złota. Gdy Niemcy uciekli Żyd wyszedł z piwnicy i z żołnierzami radzieckimi poszedł w nieznanym przez staruszkę kierunku. Po tygodniu wrócił w towarzystwie oficera radzieckiego i zażądał od staruszki zwrotu danego jej złota. Ta im tłumaczyła, że to, co od niego otrzymała do sprzedania pokryło faktycznie tylko część jego wyżywienia, resztę i tak dokładała z własnego. Nic jej nie pozostało i nie ma, co zwracać. To on raczej powinien jej

przynajmniej podziękować za przeżyty strach, bo za samą pomoc Żydom, nie mówiąc o przechowywaniu, groziła kara śmierci. Żyd jednak nadal nalegał i nakłaniał oficera, by on to na niej wymógł. Podobno oficer ten po wysłuchaniu staruszki, powiedział jej: „ty narażałaś się codziennie przez pięć lat na niechybną śmierć, a on tak ci odplaca, to teraz masz pepeszę i zastrzel go”. Kobięcina się wystyraszyła, cofnęła i odparła: „nie po to się narażałam, by go teraz zabić”. Wtedy oficer zaproponował to samo Żydowi. Ten bez wahania sięgnął po broń, ale oficer ją cofnął i dopowiedział kobiecie: „widzisz, a on jednak chce cię zabić”. Przerazona kobieta uciekła do chałupy, a oficer z Żydem odeszli. Żyd się więcej nie pokazał. Mówiono, że oficer odprowadził go do lasu i w okopach zastrzelił. Wtedy o podobnych incydentach z różnych miejsc słyszało się wiele, ten najbliższy potraktowano raczej tu jako wyjątek, bo w innych przypadkach, przechowani Żydzi potrafili podobno wyrazić swoją wdzięczność.

Niemal nazajutrz po wyzwoleniu wszyscy pracujący wcześniej na kopalniach i w hutach, bez żadnego wezwania zgłosili się do pracy. Każdy uważał, że zakłady pracy muszą być jak najszybciej uruchomione. Nikt wtedy nie pytał o zapłatę. Pamiętam jak sąsiad po tygodniu nieobecności wrócił z kopalni przynosząc jedynie bochenek chleba jako zapłatę. Wszyscy domownicy, a było tam pięcioro głodnych dzieci, najpierw na ten chleb patrzyli, potem wszyscy płakali z radości i dopiero po dłuższej chwili, gdy matka część chleba podzieliła jedli go w pełnej ciszy jak coś bardzo wyjątkowego. To nie był wyjątek, to był prawdziwy zapał, tak zachowywali się wszyscy prawdziwi Polacy.

Jak się później okazało z niemniejszym zapałem pracowali także w tym czasie stalinowcy wraz z sowieckimi doradcami i ci wszyscy, którzy z przyzwolenia Stalina i po odpowiednim przeszkoleniu w Związku Radzieckim przyszli po władzę i stanowiska. Obsadzili wszystkie kluczowe gałęzie administracji i gospodarki do najniższego stanowiska – do kierownika sekcji. Ich to zadaniem było: dokończyć dzieła wyniszczenia resztek polskiej inteligencji – tych, co się jeszcze ostali po wymordowaniu przez hitlerowców i przez stalinowców w latach 1939-1941, skłócić rdzennych Polaków między sobą i innymi grupami etnicznymi, zniechęcić grupy etniczne do Polski, na przykład przez nazywanie Niemcami rdzennie polskich Ślązaków, Mazurów, Kaszubów, Warmian itp., oraz przygotować kilka pokoleń nowych garniturów swoich ludzi, by po zdemaskowaniu, bądź zmianie polityki czy ustroju mogli ich zastąpić nierozpoznani. Trzeba przyznać, że to im się udało.

Ponieważ Niemcy za Czarną Przemszą trzymali się przez cały tydzień, to po przejściu frontu na tym terenie pozostało sporo broni, amunicji i materiałów wybuchowych. Np. przy drugim nie wysadzonym moście pozostała przyma materiału wybuchowego w kształcie cegiełek. Niektóre z nich miały zapalniki. Jedną z takich cegiełek wziął do ręki Czesław Bizoń, kolega starszy ode mnie o 5 lat, prawdo podobnie chciał wyjąć zapalnik i wtedy nastąpił wybuch. Rozerwało go na kawałki.

Min przeciwpiechotnych na tym terenie nie było, ale min przeciwczołgowych było wiele. Poukładane w kupki przygotowane były do rozmieszczenia. Stanowiły one duże niebezpieczeństwo, nie tylko dla dzieci, zgłaszano o nich wielokrotnie na posterunku Milicji i władzom wojskowym. Ponieważ nie było reakcji, trzy takie kupki z dołożonymi „pancerfaustami”, leżące na otwartym, bezludnym terenie, z zachowaniem pełnych ostrożności, wysadziliśmy sami. Dopiero po tych niespodziewanych wybuchach, bo o nas nikt nie wiedział, resztę zebrali saperzy radzieccy. Jeden ze znalezionych karabinów zabrano mi dopiero w połowie maja. Z tego to właśnie karabinu, strzelając z odległości około 100 metrów w czujnik miny ustawionej sztorcem, wysadzaliśmy wspomniane kupki min. Broń na tym terenie miało wiele osób, o czym wiedzieli milicjanci, noszono ją podczas tzw. Stróży Nocnej, wprowadzonej po szeregu podpaleniach.

By przygotować ziemię do wiosennego siewu i sadzenia ziemniaków, kopaliśmy ją motykami i orali pożyczonym pługiem ciągnionym przez naszą krowę. Nie wesoły był to widok również na sąsiednich polach. Ojciec prowadził pług, ja prowadziłem krowę i pomagałem jej ciągnąć ten pług. Krowa miała chomąto i szła w miarę równo, ja zaś, co chwilę przekładałem sznur z jednego ramienia na drugie, też obolałe. Mama w tym czasie rozkopywała miejsca pominięte, bądź coś sadiła, czy siała. Ta okropnie ciężka praca trwała tygodniami, a wydawało się miesiącami. Orka na Waręskiej Górcie była jeszcze bardziej utrudniona, bo tam pług, co chwilę zahaczał o wystające kamienie, które jak mówiono same rosną. Tej wiosny było ich dużo więcej, gdyż bauerzy w poprzednie lata tych kamieni nie zbierali i dodatkowo podczas mroźnej zimy zamarzająca woda w szczelinach sporo wyłupała.

Trochę żyta do siewu przywiózł nam na rowerze szwagier Drużyński od swojej rodziny z Łanów Wielkich koło Żarnowca. Ziemniaki nie wiem skąd zostały zdobyte. Gdy trawa podrosła krowa poszła na łąkę. Lebioda wrywana dawniej i później jako chwast nadal stanowiła podstawowy składnik naszej zupy. Teraz jednak lepiej smakowała niż podczas okupacji, bowiem rosła na naszym polu. W lesie zbieraliśmy ściółkę na nawóz i chrust do palenia w piecu. Zapał odzyskanej wolności i kartki żywnościowe pozwoliły jakoś przeżyć przednowek. Wszyscy troje pracowaliśmy bardzo ciężko na polu i w domu, przy remoncie zabudowań pomagał nam szwagier Drużyński.

9 maja rano usłyszeliśmy melodię Mazurka Dąbrowskiego. Głos wydobywał się z wielkiej tuby wystającej ponad przydrożną trawę. Obok stał wojskowy samochód. Dwaj żołnierze w polskich

mundurach siedząc obok patefonu jedli śniadanie i co chwilę go nakręcali. W ciągu paru minut zgromadziła się obok nich spora grupa dzieci. Na wiadomość o zakończeniu wojny, nasz okrzyk radości był tak silny, że zaczęli schodzić się również starsi. Na usilną naszą prośbę hymn powtarzany był kilkakrotnie. Słuchaliśmy go wszyscy ze łzami w oczach. Któraś z gospodyń przyniosła żołnierzom mleka, które tak im smakowało, że resztę wlałi sobie na później do manierki. Na odjazdne, dziękując za wiadomość i hymn, wszyscy po kolei serdecznie ich uściskaliśmy, a kobiety i dziewczyny wycierały.

Ledwie Ojciec zdążył skosić pierwszą trawę z części łąki, na której nie pasła się krowa, gdy pojawiły się tabuny bydła pędzonego przez Czerwonoarmiejców do Związku Radzieckiego, z terenów niemieckich i naszych odzyskanych. Jeden z traktów prowadził przez Dąbie, Kuźnicę Warężyńską, Ujejsce i dalej na wschód, dokładnie przez nasze łąki. Łąki nad oboma odnogami Czarnej Przemysy były miejscem nocowania i popasu. Nasza krowa przez te miesiące musiała pozostawać w oborze i jeść to siano, które było przeznaczane na zimę. Tratowane były nie tylko łąki. Poniszczone zostały ogrodzenia i pola uprawne. Odszkodowań nie było, a ci którym się wydawało, że mogą się wzbogacić kupując od Rosjan krowy czy konie za butelkę samogonu, w trójnasób się nabierali, gdyż jeden sprzedawał, drugi przychodził po dodatkową zapłatę strasząc odbiorem, a trzeci w asyście NKWD-zisty faktycznie odbierał oskarżając przy tym o kradzież.

Działo się to w ramach reparacji wojennych. My widzieliśmy tylko to, co przepędzano i przewożono przez nasz teren, tymczasem nie tylko z Niemiec, ale również z terenów Ziem Odzyskanych, w majestacie własnego prawa zwycięzcy, wywożono wszystko – dosłownie wszystko, nawet szyny kolejowe wraz z osprzętem trakcyjnym. Głównie jednak wywożono wyposażenie fabryk, laboratoriów i zakładów przetwórczych, sprzęt i bydło z gospodarstw rolnych, wyposażenia zamków, dworców itp., nie mówiąc o dziełach sztuki, bo te grabiono gdzie popadło. Zresztą pierwszym pytaniem wielu Czerwonoarmiejców idących na zachód było – „kuda granica germańców?”. Wiedzieli bowiem, że na terenach niemieckich będą mogli czuć się całkiem swobodnie, grabić i gwałcić do woli. Co wcale nie oznaczało, że na naszych terenach byli aniołkami. Mimo przyłączenia Ziem Odzyskanych do Polski, pod względem reparacji wojennych, traktowano je nadal jako niemieckie i wywożono z nich, co się tylko dało. Wszystko to transportowano do Związku Radzieckiego przez nasz kraj koleją, samochodami, a nawet furmankami. Krowy i konie, jak napisałem wcześniej, pędzono stadami, po kilkaset sztuk, przez całe terytorium Polski, czyniąc dodatkowo ogromne spustoszenie na drogach, polach i łąkach.

Remont zabudowań wykonywany wiosną równocześnie z pracami polowymi, zwłaszcza przy braku podstawowych narzędzi i materiałów budowlanych posuwał się bardzo powoli. Najpierw trzeba było wykonać narzędzia, zagrabione nie tylko przez bauerów, później zgromadzić budulec, głównie wykopać kamienie na Waręskiej Górcze, przywieźć je na tacze i dopiero wtedy замуrować wyrwę w ścianie. Odzyskane drewno ze skrzyń zatykających wyrwę w ścianie posłużyło do naprawy uszkodzonych szczytów domu i stodoły, a słomiana mierzwa ocieplająca skrzynie poszła na ściółkę. Na żniwa, mocno przeciekając, czekała nadal strzecha dachowa. Warzywa już były własne, ale na każdy grosz trzeba było zapracować poza gospodarstwem. Ojciec dorabiał pracując u innych, Mama sprzedając mleko i jajka, mnie jako pomocnika ciesielskiego, od maja do sierpnia włącznie, zatrudnił szwagier głównie przy budowie więzi dachowych. Z przyrodziewku w tym czasie kupiono mi jedynie pantofle.

Na zabawy z rówieśnikami nie miałem czasu, zresztą i oni też byli zajęci. Spotykałem ich prawie wyłącznie po drodze z kościoła. Jedynie w niedzielę mogłem pospać dłużej i wcześniej się położyć. W tygodniu wstawałem o świcie i kładłem się zaraz po zmroku. Karbidu do oświetlenia też trzeba było oszczędzać, ale obowiązkowe dostawy za grosze przez kilka lat po wojnie musiało się realizować, bo sprzeciw groził karą ustawową do 3 lat więzienia, czego doświadczyło kilka tysięcy rolników. Nas tylko w pierwszym roku zwolniono z tego obowiązku.

Tym, co po 1956 roku próbowali otrzymać jakieś odszkodowania za prześladowania, za pobyt w więzieniu, za utracone mienie, itp., ci właśnie stalinowcy, którzy przyszli z taborami wojsk radzieckich i obejmowali ważniejsze urzędy, tłumaczyli przewrotnie, że przecież w obozach i więzieniach mieli za darmo wikt i opierunek. Oni też w imieniu Polaków zrzekli się odszkodowania od NRD.

W polityce w tym czasie działy się różne rzeczy, których nie rozumiałem, wobec tego, a głównie z powodu braku czasu, prawie się nimi nie interesowałem. Najważniejszym wydarzeniem była reforma rolna i z nią związane utarczki zbrojne. Co kilka dni dochodziły do nas wieści, że z jednej strony gdzieś tam znowu zamordowano kilku działaczy partyjnych lub milicjantów, a z drugiej aresztowano i skazano byłych AK-owców, że wywożą na Sybir. Na naszym terenie poza majątkiem wojkowickim nie było co parcelować, więc obyło się na dwóch zamordowanych milicjantach.

A przecież dochodziły do nas i takie informacje, że w marcu 1944 roku rząd londyński sygnował deklarację Rady Jedności Narodowej ogłoszoną w Londynie prezentującą zapis, że po wojnie największe gospodarstwo w Polsce będzie miało 50 hektarów, zaś majątki wystające ponad ten areal zostaną rozdzielone chłopom. Ten sam rząd opowiedział się także za nacjonalizacją fabryk. O tym, czy nacjonalizacja zostanie dokonana odpłatnie czy nieodpłatnie – miał zdecydować dopiero parlament,

wybrany demokratycznie po wyzwoleniu. Widać z tego, że reforma rolna nie była wymysłem jedynie komunistów związanych z Moskwą. Ponadto w tym zakresie i rząd londyński też nie stanowił jakiejś enklawy wśród państw zachodnich, podobne zabiegi przeprowadzały wtedy i później prawie wszystkie europejskie rządy, bez gwarancji odpłatności. Przykładem może być Francja, która do dziś nie zwróciła majątków odebranych arystokratom w epoce Wielkiej Rewolucji i nie słyhać, aby problem ten znalazł się w kręgu zainteresowań francuskich parlamentarzystów.

Po żniwach z nowej słomy razem z ojcem kręciliśmy kicoki i nimi łąca po łącie z dołu do góry zaszywałem dziurę po dziurze na całym dachu. Kicoki do łąt przywiązywane były na tzw. okrętkę sznurem skręcanym na bieżąco ze słomy i ściśle do siebie dociskane, aby nie było między nimi żadnego prześwitu. Zdjęte z dachu szmaty, założone w styczniu, tak już były przegnite, że do żadnego użytku się nie nadawały, pocięte na drobne kawałki wrzucone zostały do gnojowika. Bakterie do następnej wiosny przerobiły je na nawóz. W kolejności czekało uzupełnienie umeblowania, przygotowanie wyjąłowanej roli do jesiennych zasiewów i wiele jeszcze innych prac gospodarskich.

Nie pamiętam dokładnie, ale chyba pod koniec marca lub na początku kwietnia 1945 roku pani Piekarska rozpoczęła nauczanie dzieci w Wojkowicach Kościelnych. Nie wiem tylko, dlaczego odbywało się ono w budynku gminnym. Bo tam właśnie poszedłem zapytać, czy będę mógł kontynuować naukę w klasie VII. Pani kierowniczką odpowiedziała mi, że jestem już za stary by chodzić do szkoły powszechnej i powinienem pójść do gimnazjum. Z uwagi na bardzo trudne warunki materialne rodziców w tym czasie, nawet nie próbowałem się dowiadywać o takie możliwości. Więc rok szkolny 1944/45 był rokiem ciężkiej pracy, jak na czternastolatka i znowu roczna przerwa w nauce.

Pod koniec sierpnia 1945 roku rodzice doszli jednak do wniosku, że trudno im będzie na mnie łożyć, ale szkoda mego czasu i powinienem, jeśli chcę, zacząć dalszą naukę.

Trzeciego września, a było to w poniedziałek, wstałem bardzo wcześnie, bo idąc pieszo około 13 kilometrów już przed godziną ósmą byłem w sekretariacie Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego im. M. Kopernika w Będzinie. Tam się dowiedziałem, że szkoła niby jest bezpłatna, ale opłaty na..., na... I na... wynoszą miesięcznie sporą sumę, jak na moje możliwości sporo za dużą, więc poszedłem do innych jeszcze szkół, również w Sosnowcu. Wszędzie było to samo. Po drodze trafiłem też do Wojskowej Komendy Uzupełnień w Sosnowcu, by zapytać o możliwości wstąpienia do szkoły kadetów licząc, że ta będzie bezpłatna. Przyjął mnie oficer w stopniu kapitana i po wysłuchaniu moich losów, powiedział mi krótko: „Nie załamuj się, spróbuj jeszcze poszukać takiej szkoły, w której mógłbyś uzyskać stypendium, a gdy nic nie znajdziesz wróć do mnie. Ja w tym czasie zorientuję się jak będę ci mógł pomóc”.

Musiałem nie bardzo być podbudowany tą rozmową, bo gdy wyszedłem z budynku, nie zdając sobie sprawy poszedłem w kierunku domu. Jak znalazłem się z powrotem na schodach Gimnazjum im. M. Kopernika w Będzinie nie wiedziałem i nie wiem do dzisiaj. Było to już późne popołudnie. Siedząc na schodach musiałem bardzo opłakanie wyglądać, bo wychodzący z budynku mężczyzna zatrzymał się nade mną i zapytał: „Co ty tu robisz w takim stanie?” Opowiedziałem mu krótko swoje losy, że chciałbym się dalej uczyć, że tu już byłem rano i co się dalej działo aż do chwili obecnej, oraz to, że nie wiem jak się tu znalazłem. Wtedy on podniósł mnie i powiedział: „Przyjdź jutro do sekretariatu i powiedz sekretarce, aby cię skierowała do Piotrowskiego”. Gdy dotarłem pieszo do domu, był już wieczór. Jedząc, dopiero drugi posiłek w tym dniu, opowiedziałem rodzicom, co mnie spotkało i poszedłem spać.

Mama obudziła mnie równie wcześnie jak poprzedniego dnia, bym się nie spóźnił. Wchodząc do szkoły widziałem na zegarze jak dochodzi godzina ósma. Gdy poprosiłem sekretarkę, aby mnie skierowała do pana Piotrowskiego, ta powiedziała mi: Obejdz budynek od tyłu, tam w kotłowni jest Piotrowski. Jak się później okazało, było dwóch Piotrowskich: zastępca dyrektora szkoły i palacz. Już kierowałem się do wyjścia, gdy otworzyły się drzwi i z bocznego pokoju wyszedł ten mężczyzna, który poprzedniego dnia kazał mi tu przyjść. Zobaczywszy mnie powiedział – „Już myślałem, że nie przyjdiesz”, a zwracając się do sekretarki dodał: „Teraz proszę go zaprowadzić do pierwszej „c”, a na długiej przerwie wypełni pani kartotekę i wpisze go do dziennika”. Ujął mnie za ramię i odprowadził do drzwi. Poszedłem za sekretarką. Sekretarka weszła do sali i po chwili wyszła razem z Panią Profesorką. Pani Profesorka zaprosiła mnie do środka i wskazała wolne miejsce. Stałem się uczniem. Rozpoczęła się codzienna wędrówka do szkoły, około 13 kilometrów w jedną stronę, przy każdej pogodzie, bo żadnej komunikacji autobusowej w tym czasie nie było, a nawet gdyby była to i tak nie byłoby mnie na nią stać. Stypendium nie otrzymywałem, ale byłem zwolniony od wszelkich opłat. Pewnego razu będąc bardzo zmęczony, w połowie powrotnej drogi – pod Sarnowem, wyprzedzała mnie pusta furmanka zaprzężona w parę dorodnych koni lekko biegnących klusem. Poprosiłem furmana by mnie zabrał, wtedy on podniósł bat i krzyknął: „Niech cię Pan Bóg zabierze”, strzelił z bata i jeszcze szybciej pojechał dalej.

Wychodziłem z domu przed godziną szóstą, a wracałem około szesnastej – w grudniu w obie strony po ciemku. Zjadałem późny obiad, a raczej obiadokolację, odrabiałem lekcje przy karbidowej lampie

i szedłem spać, by nazajutrz wstać o 5³⁰. Jedynie w niedzielę spałem trochę dłużej i zjadałem normalne posiłki. W dni powszednie jadłem przed wyjściem, później w szkole około jedenastej zacierkę na „unrowskim” sproszkowanym mleku i skromny obiad po powrocie. Bywało w tym czasie, że raz w tygodniu rodzice mogli sobie pozwolić na danie mięsne, najczęściej było to mięso królicze.

W tym okresie pojawili się w szkole przedstawiciele Duńskiego Czerwonego Krzyża i poddali nas wszystkim próbie przed szczepieniem przeciwko gruźlicy. Jako wynik tej próby otrzymałem zaświadczenie, że w sposób naturalny zostałem już wcześniej uodporniony na prątki gruźlicze.

Po wyzwoleniu pracowałem na równi z rodzicami przy odbudowie zniszczonych przez Wehrmacht zabudowań, przy zagospodarowaniu zrujnowanego przez niemieckiego bauera obejścia, przy produkcji niezbędnych narzędzi i sprzętów, przy orkach, przy zasiewach itp., aż do końca sierpnia 1945 roku. Pracowałem także w gospodarstwie i zarobkowo podczas kolejnych wakacji, a następnie przez prawie 3 lata kierując filią internatu.